

Zeszyt Osuchowski

Nr 15

OSUCHY 2018

WYDAWCA

Gminny Ośrodek Kultury w Łukowej
23 – 412 Łukowa
tel. 0 84 687 40 60
e-mail: gokluk1@wp.pl
www.lukowa.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Wiesława Kubów, Maria Działo, Elżbieta Nizio, Tomasz Brytan

DRUK

Z.P. „Helvetica”
ul. Włosiankarska 13
23-400 Biłgoraj

ZDJĘCIA

Zbiory prywatne rodziny Mielniczków, Czesława Mużacza „Selima”,
Piotra Bartoszewskiego

**Pamiętnik Kazimierza Pacyka
ps. „Grom”
komendanta placówki
VII AK w Rejonie Biłgoraj
w latach 1939 – 1944**



Wybaczcie czytelnicy, że na początku będę pisał o sobie i mojej rodzinie.

Urodziłem się w rodzinie rolniczej 19.01.1918 r. Rodzice moi przed pierwszą wojną światową i w wojnę powiązani byli z legionami. Ojciec na froncie był tylko około miesiąca, wrócił ciężko chory na płuca, leczyl się aż w Warszawie i wyszedł zdrowo. Matka moja często opowiadała nam, dzieciom (a było nas 4 synów) jak to ciężko kosztuje wolność jaką mamy, jak carat Polakom nie zezwalał po polsku modlić się, uczyć w szkole, sztandar polski musiał być bardzo ukryty, jak go raz tylko widziała na uroczystościach kościelnych po drugiej stronie ulicy obok kościoła WNMP w Biłgoraju. W piwnicy pod domem mieszkalnym w czasie odsłonięcia sztandaru wszyscy płakali i całowali jak krzyż Zbawiciela Chrystusa. Na sztandarze z jednej strony była Matka Boża, a na drugiej stronie był napis: Bóg, Honor i Ojczyzna. Te słowa pisaliśmy na zeszytach szkolnych na pierwszej stronie, za to otrzymywaliśmy uśmiech matki.

Przyszła druga wojna światowa, najstarszy z nas braci Jan służył w marynarce wojennej. Walczył na Helu, dostał się do niewoli niemieckiej skąd dwukrotnie uciekał. Uciekł z kolegą Kochmańskim Michałem. Do ludności mówiliśmy: *Został zwolniony na plantacje tytoniu.* Ojciec służył w taborach wojskowych, po pewnym czasie wrócił. Nas trzech braci i matka pozostaliśmy w domu i widzieliśmy jak wojska hitlerowskie rabowały, jak się znęcały nad Żydami i Polakami. Widzieliśmy jak nasi żołnierze przepędzali z mojej wsi hitlerowców z zaskoczenia i wycofywali się do lasu. Prosiłem kaprała, aby mnie wziął do swojej drużyny (byliśmy obok wojska na skraju lasu z krowami): *Nie będzie pan miał trudności ze mną, ja jestem wyszkolony żołnierz, jestem gminnym instruktorem przysposobienia wojskowego i wychowania*

fizycznego. Na co kapral odpowiedział: *Zgłoszę do porucznika, po pewnym czasie wrócił posepny i żal go ścisnął, mówił urywanym głosem: Polska nasza została rozdarta na dwie części i lży ujrzałem w jego oczach, krzyknąłem z cicha: Jak to, nie rozumiem co się stało?* Kapral nie śpieszył się z odpowiedzią, jakby nie wierzył co zaszło, zaczął nerwowo opowiadać co zaszło i zakończył słowami: *Będziemy walczyć w podziemiu, wypiliśmy mleko od naszych krów, podziękował, odszedł do swoich. Broni nie zostawili. Nadeszła noc, walki wokół Biłgoraja nieco ucichły, tylko rakiety różnego koloru świeciły w górze. Następnego dnia pojedynczo wróciliśmy do swoich domów i już cała wieś mówi, że Niemcy wycofują się za Wisłę, a do Wisły zajmą Rosjanie. Wycofujących Niemców po drodze Biłgoraj – Janów Lubelski szarpał pułkownik Koc ze swoim pułkiem, za ww. pułkiem szli Rosjanie nie przyjmując walki z naszymi. Ostatni bój z Niemcami przyjął pułkownik Koc w pobliżu Dzwoli zadając ciężkie straty nieprzyjacielowi. Bez strat poważniejszych pułkownik wycofał się do Lasów Janowskich i tam się rozbroił. Piszę o tym dlatego, ponieważ z tego pułku był podporucznik Józef Witek z zawodu leśniczy, późniejszy założyciel rejonu Biłgoraj. Spotkał się ze mną we wsi Gromada. Po mundurze jaki miałem na sobie rozpoznał mnie, że jestem z zawodu leśnik, przedstawił się kto on jest prosząc, aby mu ułatwić pozostanie tu w tych lasach, na co wyraziłem zgodę, dałem mu adres do leśniczego w Biłgoraju i poradziłem mu, aby mundur oficerski z gwiazdką pozostawił we wsi i wziął od kogoś cywilne ubranie, bo w mieście jest dużo Rosjan, na co nie wyraził zgody. Ww. Józef Witek pozostał przy nadleśnictwie w Biłgoraju, zapoznał się z leśniczym Spisackim i obaj zaproponowali mi w pierwszych dniach października 1939 r. wstąpienie do Polskiej Organizacji Wojskowej, na co wyraziłem zgodę, ale nie mogłem zrozumieć jak powstanie Polska skoro takie dwa mocarstwa rozdarły Polskę, na co odpowiedział leśniczy Spisacki: *Te dwa mocarstwa będą się bić ze sobą i upadną, a my musimy organizować nową Polską Armię w podziemiu i wywalczymy Polskę.* (przypomniały mi się słowa kaprała). Nadmienić należy, że tuż przed wojną rok czasu uczyłem się na leśniczego przy Nadleśnictwie w Biłgoraju i z tego powodu musiałem przyjąć służbę gajowego, otrzymałem pod opiekę teren leśny, na*

którym to terenie magazynowałem broń dla przyszłych partyzantów. Najwięcej broni maszynowej, zwykłej i amunicji przywoziłem z lasów janowskich, tam gdzie rozbroił się pluton Józefa Witka „Grot”. Całą akcję transportowania broni z lasów janowskich do lasów biłgorajskich kierował Józef Witek „Grot” ówczesny komendant rejonu, ponieważ był świadkiem zakopywania broni przez żołnierzy swoich. Józef Witek „Grot” został komendantem rejonu Biłgoraj z powodu tego, że wszyscy oficerowie powiatu Biłgoraj zostali aresztowani przez Niemców i wywiezieni do obozu koncentracyjnego w Dachau. Z oficerów biłgorajskich i starszych podoficerów pozostało kilku na dalekich wsiach, którzy zdołali się ukryć. W listopadzie 1939 r. organizacja wojskowa nasza przybrała nazwę Związek Walki Zbrojnej. Do transportowania broni z lasu do lasu była najgorsza furmanka, ponieważ naładowaliśmy dużo broni, bo w razie spotkania z Niemcami zostawiamy furmankę ze wszystkim ratując się ucieczką. Ale tego zdarzenia nigdy nie było. Pierwsza furmanka była własnością Dorosza Adama z Gromady. U mnie w szkółce leśnej nakładaliśmy trochę sadzonek sosnowych i wieźliśmy do lasu Nadleśnictwa Kocudza, tam załadowaliśmy 5 kbk i trochę amunicji i wieźliśmy z powrotem do Nadleśnictwa Biłgoraj na zalesianie zrębów. Drugą furmanką był Sobaszek Szczepan, tak samo była załadowana jak poprzednia. W powrotnej drodze spadło trochę śniegu i nie było widać pni przydrożnych po ściętych drzewach. Wjechał na pnia, wywrócił, wszystko wyszło na wierzch. Woźnica pyta: *Co to?* Ja odpowiedziałem, że nie wiem. Krzyczy cicho: *Kłamiesz, chcesz zniszczyć moje dzieci i mnie.* Ja odpowiedziałem: *Ładować i to szybko* i w tej sprzeczce załadowaliśmy, jechaliśmy, a śnieg gęstniał, wiatr gwizdał i popędzał, bo było zimno a potem mroźno. Długość tej drogi wynosiła około 30 km, toteż w późniejszym czasie brałem lepsze konie, bo i broń była cięższa, maszynowa. Komendant Witek Józef „Grot” nie jeździł z nami. Jeździł ze mną w przeddzień, zapoznał mnie z drogą i miejscem magazynowania. Tam byli ludzie, którzy pilnowali tej broni. Następnego dnia, czy drugiego oddawaliśmy furmankę tym ludziom i ci ludzie ładowali, nakarmili konie, tak, że furman nie wiedział co wiezie i od kogo. Broń, którą przetransportowałem z lasów janowskich do lasów

biłgorajskich w całości została przekazana na oddział partyzancki Józefa Steglańskiego „Corda”. Zaraz po zmagazynowaniu broni w Nadleśnictwie Biłgoraj zaprzysięgłem stróża: nieżyjącego Łukasika Franciszka „Modrzewia” wraz z żoną Stanisławą i Skibą Szczepanem „Longinusem”. Pomimo tego, że byli stróże każdego dnia w pobliżu zmagazynowania przejeżdżałem rowerem. Apteczkę ktoś wykopał. Jeszcze w pierwszych dniach października 1939 r. po przysiędze zostałem mianowany komendantem obszernego terenu, od szosy Biłgoraj – Frampol po Korytków Duży na wschód aż do Panasówki po szosę Biłgoraj – Zwierzyniec i Bojary włącznie. Na tym terenie mam przyglądać się ludziom, kto jakie ma zapatrywania i kto nadaje się na drużynowego, aby przy jego pomocy założyć placówkę w danej miejscowości. Najwięcej informacji w poszczególnych wsiach (jako kawalerowi) udzielały dziewczęta. Po takiej małej informacji wiedziałem jak do kogo podchodzić, a miałem wiele na to czasu. Jako mistrz gajowy mogłem się poruszać w dzień i w nocy gdzie mi się podobało. Pracowali za mnie wszyscy gajowi z mojego terenu. Robotnicy byli sprawiedliwi jak również leśniczowie, ponieważ wszystkich zaprzysięgłem do walki z okupantem, tak samo i tych, którzy pracowali w innych zawodach. I tak w ciągu dwóch lat zorganizowałem dwa plutony z miejscowych ok. 30 ludzi + wozak w plutonie + wywiad. Grupową przysięgę odbierał w mojej obecności podporucznik Józef Witek „Grot”, potem w 1942 r. por. Józef Steglański „Cord”. Pojedynczo, nie grupowo zaprzysięgałem sam, tekst przysięgi znałem na pamięć (dzisiaj częściowo zapomniałem). Przed każdą przysięgą pisałem listy, wykazy szyfrem (wykaz): Nazwisko i imię, rok urodzenia, zawód, skąd, zamieszkały, wykształcony lub nie, stopień wojskowy, kawaler, żonaty. Od 1939 r. do początku 1942 r. rozkazy, prasę i inne wiadomości otrzymywałem od Józefa Witka „Grot”. W 1942 r. (nie pamiętam miesiąca) podporucznik Józef Witek „Grot” przez Ruch Oporu odgórnie został skierowany do policji kryminalnej na wywiad, podsłuch telefonów, ponieważ znał dobrze język niemiecki. Obowiązkiem jego było kto kiedy będzie aresztowany przez gestapo lub inne informacje niemieckie. Na miejsce Józefa Witka „Grot” został przysłany Józef Steglański „Cord” porucznik lotnik. Mój rozległy teren był już dobrze

zorganizowany w ilości dwóch plutonów: 60 żołnierzy, wywiad, woźnicy. Przypuszczam, że inne plutony rejonu Biłgoraj (9 plut.) były w takim samym stanie organizacyjnym. W tym czasie nasza organizacja wojskowa ZWZ przybrała nazwę Polski Związek Powstańczy, lecz nazwa ta niedługo trwała, gdyż Polski Rząd Emigracyjny w Londynie wydał zarządzenie, aby wszystkie organizacje wojskowe w kraju mające swoich przedstawicieli w rządzie polskim w Londynie połączyły się w jedną całość pod nazwą Armia Krajowa (AK), lecz nie wszystkie powiaty lub województwa podporządkowały się temu rozkazowi. Zależało to od dowódców powiatowych lub wojewódzkich, centralnie połączyli się w całość. Józef Stegliński „Cord” stopniowo wprowadza twardą dyscyplinę, często robi odprawy z dowódcami plutonów, podrywa do walki z okupantem, do stałego sabotażu, organizuje często szkolenia żołnierzy, tajna prasa regularnie funkcjonuje, wywiad dobrze funkcjonuje, każdy ruch wroga jest znany, konfidenti gestapo są wykrywani. Było to w sierpniu 1941 r. (w niedzielę). Niemcy szybko posuwają się w głąb Rosji, ja umawiam się z komendantem Witkiem „Grottem” do zaprzysiężenia dwóch drużynowych i dwóch zastępców z Majdanu Gromadzkiego i Nadrzecza. Drużynowym wskazuję miejsce w lesie, około 3 km od Gromady i dwa km od Bojar w lesie sosnowym (lat 40) z podrostem świerka i jodły wysokości 2 m wzwyż. W razie gdy zapadnie zmrok, a księżyc w pełni oświetli teren, będzie osłona. Natomiast ja i Witek „Grot” przychodzimy osobno od południa w umówiony punkt spotkania. Tamci przyszli od północy i w taki piękny księżycowy wieczór stajemy do przysięgi. Krótkie ostre słowa Witka: *Do przysięgi!* Chłopcy podrywają się na baczność, Witek odczytuje tekst przysięgi. Było to radosne i wspaniałe przy pełni księżyca a jednak i smutne. Jak się dowiedziałem od konfidenta gestapo w kilkanaście lat później, konfident A. O. obserwował mnie przez cały dzień niedzieli, aż do miejsca przysięgi. Rozpoznał drużynowych: Odrzywolski Wiktor „Scena”, Król Andrzej zastępca obaj z Majdanu Gromadzkiego; Birut Jan drużynowy i Birut Wincenty zastępca obaj z Nadrzecza, ich nie rozpoznał. Mnie i Witka „Grot” rozpoznał. Jak się później dowiedziałem ponad dziesięciu konfidentów gestapo obserwowało mnie dzień i noc i pod taką obserwacją zdrajców z Bojar, Biłgoraja, Gromady,

wykonywałem wszystkie rozkazy, o których będę pisał. Od komendanta rejonu Biłgoraj ppor. Józefa Witka „Grotą” latem 1941 r. otrzymałem rozkaz organizowania patriotycznego ruchu oporu do walki z okupantem i terrorem oraz uzbrojenie jego członków ile się da. Następnym komendantem rejonu Biłgoraj porucznik Józef Stegliński „Cord” wczesną wiosną 1942 r. wydaje rozkaz do mnie, dowódcy plutonu i terenu: *Zwalczać wroga zbrojnie, sabotażami, propagandą, obserwować i notować ruchy wojsk, szyframi notować numery samochodów ich znaki, ilość i każdego dnia zgłaszać do komendanta „Corda”.* (Szyfru nauczył mnie komendant „Cord”). *Jeżeli nie ma ruchów wojsk przychodzić rzadziej z meldunkami jak jest się na terenie i po pocztę. Nieść pomoc ludziom ukrywającym się przed okupantem, nie pozwalać ludziom młodym na wyjazd do Niemiec na roboty, paraliżować łapanki po wsiach, ostrzeliwać z zasadzki niemieckie oddziały po drogach leśnych bez strat w ludziach po obu stronach, jeżeli nie zajdzie potrzeba ani jedna beczka żywicy ma nie dojść do Niemców, zwracać uwagę na sołtysów i konfidentów gestapo, zwrócić uwagę na złodziei i aby żaden oddział partyzancki nie wpadł w zasadzkę, wykrywać i niszczyć bimbrownie, porządek musi być.* Do notowania ruchu wojsk na szosie Frampol – Biłgoraj powołałem zaprzysiężonego Rybaka Franciszka z Majdanu Gromadzkiego, który od szosy mieszkał około 500 m. Ten z kolei wziął siostrę Janinę do pomocy, ponieważ młodej dziewczynie łatwiej pracować na polu, obserwować i śmiać się do wojskowych w czasie obserwacji numerów i znaków. Ww. obserwował również, czy nie ma zasadzki niemieckiej naprzeciw jego domu przy moście na rzece Ładzie, na którym przechodzili w rzędki partyzanci. Każdego dnia rano i wieczór jako gajowy umundurowany przyjeżdżałem rowerem i odbierałem meldunki ustne albo na piśmie. Ważniejsze przesyfrowywałem i oddawałem do komendanta rejonu. Tych ludzi, którzy chcieli jechać z biedy na roboty do Niemiec i tych, którzy nie chcieli jechać starałem się przez zaprzysiężonych swoich ludzi uświadamiać: *Nie jedź, nie daj się złapać, bo nie wrócisz spod bomb.* Gdy strażacy i cywile łapali do Niemiec wystarczył jeden strzał karabinowy, a już ich nie było. Początkowo Niemcy chodzili po wsiach jak i po mieście. Dwóch Niemców mogło przewrócić całą wieś, a gdy się wie

zorganizowały małe patrole przestały chodzić. Wychodziły duże patrole (oddziały) w sile plutonu i te były ostrzeliwane z broni maszynowej. Do ostrzeliwania zasadzek brałem przeważnie robotników leśnych stałych, z zaświadczeniami, że jest robotnik leśny, ja jestem gajowy w mundurze z opaską na rękę. Dwa rkm (ręczny karabin maszynowy polski) były zawsze gotowe do użytku. Włożone były do skrzynki w cienkich deskach sosnowych o długości 154 cm 30 szerokości i 15 cm grubości. Do takiej skrzynki przypięty był pas, aby wygodniej było nieść na ramieniu. Skrzynka ta miała jeszcze u dołu denko, a u góry otwór. Z otworu tego wyglądała piła i trzonek od siekiery. Tak to wszystko było poukładane, że podczas akcji nie trzeba było wyjmować, wystarczyło naprzeciw spustu usunąć i pchnąć małą deseczkę i już jest spust i bezpiecznik rkm-u. Dwa rkm ukryte były w budach na żywicę w tylnych ścianach. Na akcje przeciw zasadzce używane były dwa rkm –y, obstrzał z dwóch stron. Wystarczyło raz ostrzelać i już ich więcej razy w pobliżu nie widziano. W późniejszym czasie widziano ich (Niemców) na polach w pobliżu Biłgoraja. Podejście do zasadzki było zawsze możliwe. Gdy wywiad terenowy wyczuł, że Niemcy są na skraju lasu lub głębiej gdzieś przy moście na rzece Ładzie, brałem dwóch robotników stałych leśnych jak: Szcząchor, Giercza Józef, Sędłak Jan z Rap Dylańskich, wszyscy zaprzysiężeni. Brali skrzynki na plecy i razem w trójkę szliśmy w kierunku zasadzki głośno mówiąc, którą to sosnę należy zerznąć, a był taki rozkaz Niemców, aby na chłopskich lasach robić przerębówkę uszkodzonych sztuk sosnowych. Na nasz krzyk ukryci Niemcy podnosili głowy. My widząc, gdzie są odchodziliśmy głośno, a potem z dwóch stron cichutko podeszliśmy i oddawaliśmy po kilka krótkich serii w ich kierunku. Niemcy zwykle kryli się bardziej do ziemi i jak szczury wycofywali się. To było przy szosie Biłgoraj – Frampol. Przez tę szosę partyzanci mogli swobodnie przechodzić. Na szosie Biłgoraj – Zwierzyniec w lesie obok wsi Wola było trudniej, bo Niemcy przychodzili z większą siłą i mieli bliżej do bazy wyjściowej. Z bazy wyjściowej na stacji kolei wąskotorowej Rapy wyrzucili ich partyzanci z oddziału „Żegoty” i już nie wrócili. Usadowili się w centrum Biłgoraja i robili w kilkuset ludzi (żołdaków). Na miejsce swoich zasadzek powołali gestapowcy masę konfidentów pochodzenia

ukraińskiego i Polaków (Okliński z policji kryminalnej w Biłgoraju był szefem konfidentów na moim terenie), pijaków bez honoru, zachłannych. Chodzili oni po lasach, jeździli, szukali drzewa opałowego, a najwięcej można ich było spotkać na moim terenie. Teren ten nazywał się płytkim lasem znajdującym się między szosą Biłgoraj – Frampol, Biłgoraj – Zwierzyniec. Partyzanci chcąc przejść z lasów Puszczy Solskiej do lasów janowskich, a były to lasy głębokie, musieli przechodzić właśnie przez ten las płytki, czyli przez mój teren z lasów głębokich do głębokich. Do tych lasów głębokich Niemcy o sile tysiąca, czy 2 tysięcy nie mogli wjechać. Tak samo na szosie Biłgoraj – Zwierzyniec, wszystkie pojazdy niemieckie „szły” w górę albo były zajęte. Wywiad biłgorajski tak dobrze pracował, że wiedzieli kiedy, o jakim czasie i kto wyjeżdża, pod jakim numerem, jakim pojazdem, taki czy inny gestapowiec, czy grupa będzie przejeżdżać. Niszczenie żywicy niemieckiej uzbieranej przez robotników leśnych w dwóch leśnictwach Bojary i Nadrzecze odbywało się świtem. Ja jako gajowy upoważniony byłem chodzić po wszystkich dzielnicach sześciu gajowych, czyli dwóch leśniczych i z rozkazu „Corda” własnoręcznie zapalałem beczki z żywicą ukryte w ziemi i zamaskowane. Potem przychodziła komisja i szacowała ile było uzbieranej żywicy i Niemcy płacili robotnikom za ich trud i kazali dalej zbierać, a ja znowu spalałem. Tak wykonywałem rozkaz „Corda”, aby ani jedna beczka żywicy nie poszła do Niemców. W 1942 r. w lesie zawiązała się paczka złodziei. Nie krałła na moim terenie przez co była nieuchwytna, ale z bronią w ręku rabowali na dalekich wsiach i tam nie mogli ich uchwycić, pomimo, że cały teren pow. Biłgoraj był dobrze zorganizowany przez AK, BCh i NSZ. Złodzieje ci na rabunkach tytułowali się: *Panie Poruczniku, Panie Kapralu, Panie Komendancie* i udawali, że są partyzantami i zabierali co było w domu, a mieli na pewno wydawców, informatorów, bo wiedzieli gdzie co jest. Ludzie prości nie mający pojęcia o partyzantce kiwali głowami i mówili: *Partyzanci to naprawdę bandyci, złodzieje tak jak mówią nam Niemcy*. Utało się powiedzenie, że partyzant to złodziej i świniokrad. Nawet ludzie po średnim wykształceniu w mojej obecności (nie wiedząc kto jestem) mówili partyzant to świniokrad. Po pewnym czasie wszystkie wsie meldują do mojego komendanta rejonu por.

„Corda”, że złodzieje są w Gromadzie i Nadrzeczcu, bo tam prowadzą ślady. Komendant wzywa mnie jako komendanta tego terenu i mówi: *Na pana terenie ma pan u siebie złodziei. Trzeba ich odnaleźć. Chodzą, rabują jako partyzanci, szarpią dobre imię partyzantów. Ma pan ludzi do dyspozycji. Na każdą noc wystawić czujki po kilka osób.* Ja inaczej postąpiłem. Po co przemęczać żołnierzy skoro będą potrzebni w każdej chwili do walki z okupantem. W tych wsiach znałem ludzi i charaktery, zapatrywania, do czego każdy z tych ludzi dąży, czego pragnie, do czego jest zdolny. Otóż wyczułem co kto może broić. Miałem swój wywiad terenowy i wybrałem najmądrzejszego, najodważniejszego. Zapoznałem go ze wszystkim co zaszło i zaproponowałem mu, aby jednego z tych podejrzanych w ten sposób podszedł: *Dam ci butelkę wódki, idź do niego i poproś, aby przeszedł z tobą na bezludny plac, postaw butelkę i powiedz wypijemy sobie kradzioną wódkę, ukradłem ją tu i tu. Udało się, oni mają jeszcze to i to i świnię i jakby to wszystko ukraść. Pomyśl jeżeli kradnie, to ci wszystko powie z kim i od kogo, i od tego czasu będziesz z nimi. Z tym, że będziesz każdego dnia meldował, tak jak dotychczas.* Następnego dnia pomimo chłodu i deszczu wywiadowca „Longinus” zjawia się na umówionym miejscu z piłą i siekierą do pracy w lesie i melduje mi: *Na terenie nie ma nic podejznanego, ani Niemców. Natomiast wódkę wypijemy ze złodziejem dzisiaj w lesie. Przyniosę dobrą zakąskę.* Złodziej mówi: *Dzisiaj nie mam czasu wypić, pójdę z ojcem* (złodziej był to młody kawaler). Następnego dnia spotykam się w umówionym miejscu z „Longinusem” (a każdego dnia spotkanie nasze było wyznaczone w innym miejscu). Wywiadowca jest uśmiechnięty i opowiada mi jak wypili pół butelki wódki, rozwiązały się języki: *Ja mu proponuję zorganizować małą grupę (5 ludzi) i przyjdź tu i tam wziąć w nocy świnię i ubrania. Będzie co jeść, pić i co sprzedać. On mi odpowiada: My już mamy zorganizowaną grupę, a ty możesz do nas dołączyć, będzie nas sześciu. Byliśmy tu i tam, zabraliśmy to i owo. Niemcy złodziei nie szukają, oni szukają partyzantów, tych co ich biją i trzeba się strzec Akowców. Powyżsi złodzieje grasowali (rabowali) najwięcej w całej gminie Frampol w Dąbrowicy, w Rapach gm. Biłgoraj i osiedlu (kolonii) Różnówka w Biłgoraju i w wielu innych miejscowościach. Szanowny Czytelniku, nie ujawniam nazwisk*

konfidentów gestapo, ani też złodziei ze względu na dobro ich dzieci i bezpieczeństwo. Złodzieje ci za rok w grudniu 1943r. zostali wcieleni do oddziału partyzanckiego, lecz w oddziale już nie kradli. W roku 1942 im bardziej kruszyły się wojska hitlerowskie, tym bardziej hitlerowcy przeprowadzali aresztowania ludności polskiej z tego powodu. Komendant rejonu Biłgoraj Józef Steglański „Cord” wydał rozkaz do wszystkich dowódców plutonów, aby zgłaszali jak najszybciej aresztowanie swoich żołnierzy, powód aresztowania i przez kogo, w celu możliwości uwolnienia ich. W 1940 r. został aresztowany Dorosz Adam z mojego plutonu, pierwszy wozak, który w październiku 1939 r, przywiózł z lasów janowskich do lasów biłgorajskich 5 bkb i 2 skrzynki amunicji. Po 9 miesiącach został zwolniony i zmuszony do wyjazdu do Niemiec na roboty. Przy końcu roku 1942 został aresztowany Maciocha Franciszek z mojego plutonu. Oskarżył go Okliński z policji kryminalnej z Biłgoraja, szef wywiadu gestapowskiego na moim terenie. Po kilku tygodniach został zwolniony, ponieważ Okliński otrzymał tajne upomnienie od „Corada”: *Zwolnić Maciochę Franciszka. O ile nie postara się o zwolnienie to otrzyma śmierć.* Jeszcze Maciocha nie był zwolniony do domu, a ja zostałem aresztowany przez gestapo w Biłgoraju w połowie stycznia 1943 r. i osadzony w więzieniu na ul. Zamojskiej. Dobrze się stało, że Maciocha Franciszek był jeszcze w więzieniu i na zwolnieniu. W czasie, gdy gestapo wyprowadziło mnie na podwórze więzienne poprosiłem o pozwolenie do ubikacji. Zezwolili, ale jeden z nich przyszedł za mną zobaczyć co ja będę robił i o dziwo po prostu czekał. W ustępie jest Maciocha Franciszek z miotłą, zaprzysiężony żołnierz AK bystry, spostrzegawczy, domyślny. Ja do ubikacji, a on do mnie z miotłą i krzyczy: *Poczekaj aż skończę.* Ja głośno: *Nie mogę bo pili.* Szarpiemy się za ręce i w czasie tej szarpaniny oddaję mu swoją kenkartę (lewy dowód), moją fotografię z nazwiskiem i inne. W dowodzie meldunek z dnia poprzedniego pisany szyfrem. A było to dobrze rano. Wszystko to było w specjalnej ukrytej kieszeni. Gdy zrozumiał, że wszystko oddałem, wyszedł z przekleństwami z ubikacji. Stojący z tyłu mnie gestapowiec Majewski nie spostrzegł się i nie domyślił się dlaczego obaj popychaliśmy się. Wyszedłem spokojny, że nie ma na mnie żadnych jawnych obciążeń, dowodów, które by mnie

obciążały. W kancelarii więziennej zostałem poddany ścisłej kontroli, rewizji. Wszystkie papierki, a było ich dość dużo związali sznurkiem, dokładnie zalakowali i położyli w szafce więziennej w kancelarii, mnie zaś odprowadzili ze stróżem więziennym do celi Nr 3 dla politycznie podejrzanych i tak zwanych szmuglerzy, czyli handlarzy, których znałem poprzednio. Paliło się w piecu ogrzewalnym, który ogrzewał cele i kancelarię przez co w celi było ciepło. Nadmieniam, że lewy dowód, przygotowałem tego dnia do ukrycia w lesie, aby ukryć go w suchym mrowisku. Meldunki pisałem każdego dnia. O ile nie były pilne to i tydzień przetrzymywałem w lesie i gdy jechałem po pocztę do miasta Biłgoraja, tajne pisemka, gazetki, biuletyny i inne, wkręcałem w ramę rowerową (marki Kamiński) od tyłu. Tak samo robiłem odwrotnie z pocztą, wyjmowałem drutem, który był potrzebny przy багаżniku. W celi stało wiadro z wodą do oddawania moczu. Pod jedną ścianą była olbrzymia prycza, która służyła do spania i siedzenia. Brud i owady gryzące. Wieczorem , a była to już noc, po zmianie straży, otworzył drzwi celi stróż Wolanin i zawołał: *Ten, który był dzisiaj aresztowany niech wyjdzie zamieść korytarz.* Na korytarzu zaczął mnie się wypytywać o powód aresztowania, gdzie i który gestapowiec, czy była rewizja, co mówili gestapowcy, a ja na żadne pytanie nie odpowiedziałem, podejrzewając go o konfidenta gestapo. Następnego dnia na spacerze nieznacznie podszedł do mnie Witek Józef „Grot” były komendant (w moim pojęciu) Rejonu Biłgoraj i powiedział: *Do Wolanina mów wszystko.* Zrozumiałem. Odtąd miałem połączenie na zewnątrz z kolegami i z komendantem Rejonu „Cordem”. Komendant „Cord” powiadomił mnie przez Wolanina kto jest na mojej celi, nazwisko i imię i za co jest aresztowany. Jak wspomniałem byli aresztowani za szmugiel, za nieposłuszeństwo. Był tam gestapowiec, nazywał się Warda i Sokołowski z Radzięcina gm. Frampol z zawodu nauczyciel, komendant BCh gm. Frampol. Gestapowiec Warda był przysłany na wywiad. Udawał, że jest pochodzenia niemieckiego, stąd i stąd, i że nie chciał przyjąć obywatelstwa niemieckiego, za to został osadzony w więzieniu. Sokołowski nauczyciel został aresztowany z podejrzenia o przynależność do „Ruchu Oporu”. Po całych dniach obaj po cichu rozmawiali, aby nikt nie słyszał o czym mówili. Żał mi go było, że go

rozpracuje, aż pewnego dnia Warda został zawołany na śledztwo, ja zbliżyłem się do nauczyciela Sokołowskiego z tymi słowami: *Panie komendancie BCh pan ma narady z gestapowcem, my już pana rozpracowaliśmy.* Nie chciał się przyznać. Powiedziałem mu jego nazwisko, zawód, skąd pochodzi i funkcje w BCh, i że to jest gestapowiec, nazywa się Warda. Zbladł, mówiąc: *Jak ja się teraz wycofam z rozmowy.* Odpowiedziałem: *Tak jak pan zaczął. Powoli, aby się nie spostrzegł.* W późniejszym czasie miał Sokołowski bardzo ciężkie śledztwo. Wysłany został na Zamek w Lublinie. Tam dołączyli go do więźniów i w liczbie 40 załadowali do wagonów bydłowych i wysłali do Oświęcimia przez Warszawę. Nie dojechali do Warszawy, w Otwocku warszawscy „Akowcy” odbili wszystkich 40 więźniów. W więzieniu gestapowiec Warda do mnie nie miał przystępu, z nikim nie mówiłem nic i z nim nic. Po kilku dniach zabrał mnie gestapowiec Majewski na śledztwo. Zakuł mnie w więzieniu do tyłu w ciężkie kajdany i tak wieziono mnie przez miasto wczesnym, mroźnym rankiem. Popychał mnie po przodzie siebie do kaźni gestapo i wprowadził mnie do dużej sali. Na środku stał duży dębowy stół, na nim przykute grube pasy do wiązania ludzi. Na ścianach pod stołem wisiały i leżały różnej wielkości skórzane i drewniane maczugi. W piecu palił się ogień. Na tym stole trzech gestapowców przeglądało moje papierki. Stałem naprzeciw gestapowców zakuty w kajdany spokojny, wpatrzony we własne papiery i pewny byłem, że tam nic nie ma. Naraz ujrzałem kalkę, przez którą pisałem i rysowałem dla przedpoborowych jak się unosi i opada pocisk, jak się strzela z kbk i myślami powiedziałem: *Boże zaślep ich.* Żaden nie rozwinął kalki, tylko przetrząsnął i podał drugiemu i trzeciemu i tak przetrzęśli wszystkie papiery, związali ponownie. Odetchnąłem. Stałem twarzą do okna, trzech gestapowców stanęło mi naprzeciw nie zasłaniając światła. Wszyscy trzej zarzucali mnie po polsku pytaniami, wpatrując się pilnie w oczy. Niestety dawałem odpowiedzi dobre, kłamliwe, nie pokazując nic na oczach. Odgadywałem, kto mnie oskarża i za co, że z nienawiści takiej, a przede wszystkim za to, że służę wielkim Niemcom. Tak było do obiadu. Powiedzieli: *Umiesz kłamać i zapominać, na twoich oczach się nic nie zobaczy. A teraz my idziemy na obiad i ty też chodź, to sobie przypomnisz w czasie obiadu.* Idę za

gestapowcem, drugi z tyłu, zdawało mi się, że są dobrzy, że dadzą co dobrego do zjedzenia. Schodzimy po schodach, na rękach kajdany, mówią, że do kuchni, która jest w piwnicy. W piwnicy stoi żelazna klatka. Zdejmują mi buty, ponieważ nie miałem wolnych rąk. Ręce były w kajdanach. Na stojąc zdjęli mi buty śmiejąc się: *Nie kopalesz nas za buty*. Założyli spodnie i kalessony do góry. Jeden wskazał palcem na klatkę: *Wchodź tam!* Podszedłem kilka kroków, spojrzałem w głąb klatki, mówię: *Tu jest woda*. Odpowiedzieli: *To obiad*. Pchnęli mnie w klatkę, zamknęli drzwiczki i powiedzieli: *Teraz tu sobie wszystko przypomnisz i opowiesz nam co wiesz o polskiej organizacji wojskowej, jak się nazywasz i kto jeszcze należy*. Po pewnym czasie poczułem dreszcze. Moje nogi już były chore, przed aresztowaniem. Na początku stycznia 1943 r. komendant "Cord" rozkazał, aby granaty i amunicja zostały przeniesione w głąb lasu. Zrobiłem kryjówkę w skarpie głębokiego rowu obok Nadrzecza pod starą sosną, która miała korzenie na powierzchni. Zrobiłem to na przeciwko drzew sosnowych tak, aby ktoś przechodząc nie domyślił się, że tu jest coś ukrytego. Piach spod sosny wyrzuciłem do rowu z wodą, która szybko płynęła i poniosła go dalej. Kryjówka była wielkości przykulonego w pas człowieka. W poprzek kryjówki umieściłem dwa drągi, które służyły za półkę. Na tej półce miały być umieszczone skrzynki z amunicją i granatami. Do przeniesienia amunicji i granatów wziąłem starszego brata Jana Pacyka „Burzę”, „Wichra” – nie żyje, gajowego Adama Jachosza – nie żyje, Sędłaka Jana ps. Węgiel z Rap Dylańskich – żyje i ja Pacyk Jan „Grom”. Skrzynki zakopane były w skrzyni z suchą trociną, 2 km od stacji wąskotorowej Rapy. Były 4 skrzynki, trzy z amunicją w taśmie parcianej do C.K.M i skrzynka granatów ręcznych. Granaty rozdałem po cztery dla każdego do kieszeni, dla mnie pusta skrzynka i cztery granaty. Od kryjówki pierwszej do kryjówki drugiej szliśmy gęsiego, ja na czele w odległości wzrokowej od pozostałych trzech. Skrzynki mamy opakowane w gałęzie. Idziemy przekładając je w marszu z ręki do ręki. Gdy dochodziliśmy do drugiej kryjówki, w jej pobliżu, po drugiej stronie rowu ujrzałem Niemców patrzących w moim kierunku. Wyglądało na to, że mnie widzą. Odwróciłem się do swoich, krzyknąłem: *Hermanie, uciekaj*. Odwrotu dla mnie nie było. Gdybym uciekał,

wystrzelali by nas wszystkich. Kolegów osłaniał podrost świerkowy i jodłowy. We wrzawie Niemców uskokczyłem do rowu, wyrzuciłem dwa granaty w ich kierunku. Dwie eksplozje i cisza. Ja już w tym czasie wciskałem się do kryjówki w skarpie rowu zawalonej świeżo ściętymi gałęziami, przez które widziałem drugą stronę rowu, wyżej nic. Niestety w kryjówce na dole była woda i rzadki rozmokły piasek, w którym to musiałem zanurzyć nogi. Nie mogłem się pomieścić i nie poruszałem się, aby gałęzie na zewnątrz nie poruszyły się, co by zdradziło moją obecność. Niemcy nieprędko zbliżyli się do rowu. W kryjówce było słychać ich kroki, zachowywali się bardzo cicho, nie wiedząc gdzie się ukryłem. W każdej chwili spodziewali się ataku, ja zaś mając dwa granaty przygotowany byłem na śmierć. Gdy wyszedłem z kryjówki już było ciemno. Nogi moje były bezwładne niby z drewna, nie czułem czy jestem w butach, czy boso. Tak przebiegłem jak na kulach pewną odległość i dopiero wtedy poczułem nogi i ból w nogach. Dobiegłem do domu rodzinnego oddalonego około 6 km. W domu zrzuciłem buty, rozebrałem się, wszedłem szybko pod pierzynę, mówiąc do matki: *Przykryj mnie czym możesz, bo bardzo się przeziębilem*. Brat mój, który był ze mną podszedł do łóżka i szeptem wypytywał się jak było dalej: *Uważaliśmy, że nie żyjesz albo cię wzięli ze sobą*. Opowiedziałem wszystko w cztery oczy jak było. Następnego dnia przeleżałem w łóżku wygrzewając się silnie, pijąc gorące mleko. Nogi nie doszły do normalności. Zgłosiłem się do szpitala w Biłgoraju do lekarza Kwiatkowskiego Michała, specjalisty od chorób wewnętrznych. Otrzymałem zwolnienie od zajęć, proszki na poty i leżenie w cieple.

Wczesnym rankiem w dniu aresztowania postanowiłem wstać i wynieść do lasu dowód i meldunki, ponieważ spodziewałem się rewizji jeżeli mnie rozpoznali. Ot i znowu woda na śledztwie. Ogarnął mnie w tej klatce z wodą lęk, ból w nogach, w kręgosłupie, dreszcze. Widząc to gestapowiec otworzył drzwiczki od klatki, wyciągnął mnie no i zdjął kajdanki, których już nie czułem. Było to coś gorszego niżeli późniejsze bicie na dębowym stole. Rozłożony na dębowym stole, przywiązany, nie mogłem drgnąć z powodu bicia za każdym razem w inne miejsce. Leżąc tak na brzuchu zrobiło mi się bardzo gorąco z bólu i zmęczenia. Krzyczałem tylko: *O Jezu! Jezu!* Jedno i to samo pytanie: *Czy należysz i*

kto jeszcze należy do polskiej organizacji wojskowej i jak się nazywa ta organizacja. Gdy zapadał mrok wyprowadzili mnie do bryczki, która stała już gotowa. Odwieźli mnie pod więzienie i kijami okładali mówiąc: Ruszaj się boś zdrowy. Chwiejnym krokiem wraz ze stróżem doszedłem do swojej celi. W celi zachowywałem się jak kazali, bez skargi, chociaż nie mogłem stać ani leżeć, ani siedzieć. W nocy stróż Wolanin otworzył drzwi, wskazał na mnie palcem: Masz wynieść z celi na korytarz to wiadro z wodą bo ją już czuć. Opowiedziałem mu jakie było śledztwo. Mogą być wszyscy spokojni, nie przyznałem się do niczego. Jeszcze stróżowi powiedziałem, że w śledztwie pytali się, czy znam Oszusta, krawca z Frampola i o kogoś jeszcze z Radzięcina. W nocy Oszust został ostrzeżony. Wczesnym rankiem wpada gestapo z żandarmerią, Oszusta już nie było. Za tydzień znowu zostałem powołany na śledztwo. Ponieważ nie mogłem chodzić, bo spuchły mi obie nogi i ręce, przyjechali po mnie. Już nie byłem skuty w kajdany. W asyście dwóch gestapowców zajeżdżam do siedziby gestapo, na tę samą salę, ale oprócz stołu były tam ustawione krzesła i mały biurowy stolik. Każą mi usiąść. Zachowują się inaczej, bez nerwów pytając mnie, czy znam inspektora leśnego Bęka. Odpowiedziałem, że znam. Co was łączy, że on za tobą ręczy, że jesteś porządny, że jesteś mistrzem w leśnych pracach, że nie masz czasu na walkę z nami. Odpowiedziałem: Łączy nas praca, a ta reszta jest prawdą. Oni na to: Nasz szef postanowił cię zwolnić z tym, że musisz nam meldować lub inspektorowi, gdybyś w lesie zauważył ruchy jakich nieznanymi ludźmi. Zgoda? Odwieziemy cię do więzienia, my napiszemy protokół, szef podpisze, zawiadomimy kierownika więzienia i wyjdiesz na wolność i natychmiast zgłoś się do lekarza, boś chory. Jest to długie leczenie jak nam oświadczył twój lekarz. Gdy wyzdrowiejesz pracuj dalej dla nas, dla wielkich Niemiec. Po kilku dniach zostałem zwolniony. Inspektor leśny, Niemiec Bęk, miał na siebie pewne obciążenia, o których ja wiedziałem. Nadleśniczy i leśniczowie należeli do tej samej organizacji. Znałem wielu oficerów, którzy mieszkali w Biłgoraju. Był ogólny lęk. Wszyscy naciskali na nadleśniczego Ropalewskiego, nadleśniczy naciskał na inspektora Bęka, że mogę wydać, trzeba coś zrobić i zrobili. Otruć mnie nie wychodziło. U doktora Kowalika Michała leczyłem się długo, bo aż do

maja. Obrzydliwe maści do nacierania, proszki na poty. Każdego dnia kąpałem się w pocie na łóżku. Przez ten czas leczenia zgniła w moim łóżku pościel. W maju rozpocząłem normalną pracę w Ruchu Oporu i w lesie jako gajowy. W czasie mojego leczenia prace w ruchu oporu i w lesie prowadził za mnie gajowy Adam Jachosz ps. ? i gajowy Kowalczyk Franciszek ps. ? Maj był ciepły, bo już w połowie maja komendant „Cord” organizuje podchorążówkę w porozumieniu ze mną no i lokuje szkolenie na Lisich Górach w lesie fabrykanta (Żyda). Tam teren był odpowiedni, wyżyna, las sosnowy od 30 do 80 lat, od wsi Nadrzecza 6 km, od Rap Dylańskich również 6 km, od Biłgoraja 10 km, od Frampola 15 km i od wsi frampolskich 10 – 8 km. Zdawałoby się, że w takim zakątku będzie bezpiecznie, było odwrotnie. Tu okoliczni mieszkańcy czuli się bezpiecznie i byli częstymi gośćmi wokół podchorążówki. Po ukaraniu chłostą sołtysa za zabranie jałówki i za pobieranie łąpówek od biednej ludności Majdanu Gromadzkiego i Nadrzecza, podchorążówka została przeniesiona w pierwszych dniach czerwca w pobliże miasta Biłgoraj, a dokładnie 3 km od stacji wąskotorowej kolei Rapy i tyleż km od szosy Biłgoraj – Zwierzyniec. Był to teren gajowego Blicharza Jana zamieszkałego w Biłgoraju w pobliżu lasu. Z gajowym tym żyłem w przyjaźni, jednak do organizacji Ruchu Oporu nie zaprzysięgałem go z powodu częstego picia wódki. Jak sobie popił to śpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła”, „My batalion trzeci, Piłsudskiego dzieci” i inne pieśni wojskowe. Po ulokowaniu podchorążówki odszukałem Blicharza i powiedziałem, że na jego terenie leśnym w oddziale takim a takim stanęła podchorążówka, ma być w stu procentach bezpieczeństwo nad nią. *Ludzie ani pastuchy w promieniu 3 km mają się nie zbliżać i wy też naokoło chodzić i przepędzać, ktokolwiek by się zbliżył. Jesteście odpowiedzialni głową. Ja będę razem z podchorążówką i gdy ktoś będzie przewoził żywność dla nich, powiadomię Was.* Tu na tym postoju było bezpieczniej jak tam, na Lisich Górach, ponieważ blisko miasta ludzie spodziewali się Niemców. Gajowy Blicharz każdego dnia chodził wkoło i czuwał, aby nikt nie przyszedł w pobliże. Po dwóch niepełnych tygodniach komendant Rejonu Biłgoraj „Cord” musiał rozwiązać 12 czerwca podchorążówkę, ponieważ 13.06.1943 r. zjeżdżały do Biłgoraja dobrze uzbrojone niemieckie wojska, o czym „Cord” wiedział, w celu

wysiedlania wsi biłgorajskich i zniszczenia partyzantów. W dniu 14 .06.1943 r. komendant Rejonu Józef Stegliński „Cord” wydaje rozkaz do wszystkich 9 plutonów, aby ani jeden żołnierz z Ruchu Oporu nie dał się złapać. Przed wojną kościół świętował 13 czerwca dzień Św. Antoniego, były nabożeństwa jak w każde święto. To samo było w wojnę. Jestem w kościele na sumie, w kościele parafialnym Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Po nabożeństwie wychodzimy z kościoła, a tu przed kościołem na pustym placu zjechało się masę hitlerowców, około 1 kompanii zmotoryzowanej, na motocyklach z przyczepą. Na każdym motocyklu karabin maszynowy LKM. W marszu podchodzi do mnie konfident gestapo i mówi: *Patrz co mają Niemcy, a co wy macie i chcecie wojnę wygrać z nimi.* Odpowiedziałem ze zdziwieniem: *Jakież ty głupstwa opowiadasz, jakie wy, jakie oni, co tu mi zarzucasz, za kogo ty mnie masz, jak możesz tak fałszywie mnie posądzać. Czy nie wiesz, że służę Niemcom?* On na to: *No, no wiemy wszyscy co w trawie piszczy.* Odciałem się: *I w twoim głupim łbie piszczy.* Hitlerowcy najpierw wysiedlali wsie w południowej stronie Biłgoraja i południowo – wschodniej stronie Puszczy Solskiej. Około tygodnia później hitlerowcy wysiedlali północną stronę Biłgoraja. Pluton mój stracił 1/3 stanu liczbowego żołnierzy. Stopniowo uzupełniałem nowymi, zaprzysięgałem sam. Najbardziej ucierpiał Majdan Gromadzki. Prawie wszystkich wyłapali, nawet w schronach ukrytych. Nasiedlili Ukraińców. Ukraińcy stopniowo wyjeżdżali aż wyjechali wszyscy, bo każdej nocy nawiedzał ich Julian z Gromady, pojedynczy partyzant. Po wysiedleniu, kto podejrzany nie ukrył się, został aresztowany i tak więzienie w Biłgoraju zappełniło się, więc trzeba było więźniów uwolnić. Ponieważ w więzieniu znajdowali się wielcy Akowcy, więc musowo było ich uwolnić siłą. Do tego celu w połowie września 1943 r. ściągnięto najlepszy oddział partyzancki AK pod dowództwem „Żegoty”. Byłem wyznaczony na przewodnika prawego skrzydła, które musiało się zbliżyć do rynku Biłgoraja przez przedmieście Bojary na ulicę Radzięcką (dzisiejsza Moniuszki). Komendant „Cord” powiadomił mnie przez gońca. Tegoż dnia już po południu odnalazł mnie w lesie. Byłem w mundurze leśnika i nie było już czasu na przebranie się. Zgłosiłem się w mundurze. Na miejscu zbiórki był „Cord”. Poznałem

„Żegotę”. Popatrzyli: *Czego w mundurze?* Odpowiedziałem: *Późno otrzymałem rozkaz w lesie, gdybym poszedł do domu przebrać się nie zdążyłbym na zbiórkę.* „Żegota” do „Corda”: *Po mundurze rozpoznają go konfidenci.* „Cord” na to, że słusznie i zwolnił mnie. Nie odchodzę, stoję obok „Żegoty” i „Corda”. Trąbka „Żegoty”, cichnie gwar słyszany na kilometr. Maszerują żołnierze plutonami obok nas, przypatruję się, wszyscy uśmiechnięci, ubrani możliwie i uzbrojeni też. Plan uderzenia na Biłgoraj opracował por. „Cord” z ppor. Bieleckim „Wyłłem” szefem wywiadu w Biłgoraju. „Żegota” poprawił nieco plan. Na skraj lasu mieli wyjść szarówką, tam mieli się rozejrzeć jak wygląda Biłgoraj i gdzie czyje ma być stanowisko. Gdy rozpoczęła się godzina policyjna już byli na stanowiskach. Zupełne zaskoczenie Niemców, nikt ich nie ostrzegł. Przecięto telefony, patrole niemieckie ukryły się, więzienie otwarto siłą. Ja natomiast nie wróciłem tej nocy do domu, nocowałem u kolegi gajowego Jachosza Adama w Nadrzeczu, a w domu w czasie strzelaniny szukał mnie jeden z konfidentów gestapowskich z Gromady. Przy końcu września „Żegota” zatrzymuje się ze swoim oddziałem partyzanckim na trzy dni w lesie obok Rap Bojarskich (Rap Małych) nie wiedząc, że w lesie kręci się pełno konfidentów gestapo (Polacy zdrajcy i Ukraińcy). Trzeciego dnia postoju Niemcy ściągnęli duże siły na szosie Biłgoraj – Zwierzyniec od stacji Rapy po Hedwiżyn. Okopali się na szosie, drudzy Niemcy weszli w głąb lasu przez Chlebne w kierunku Rap Biłgorajskich. Trzecia grupa Niemców posuwała się od stacji Rapy do Rap Biłgorajskich, aby się w Rapach połączyć i tak, aby partyzantów okrążonych spychać do szosy na okopy. Na szczęście na Rapach Bojarskich (Małych) pasł nad rzeką krowy mój wywiadowca Rogożny Bolesław z Rap. Obserwował drogę rapięńską, na której zobaczył dużo Niemców. Podbiegł do wartownika i krzyknął: *Niemcy na was idą ze wszystkich stron.* Wartownik strzałem zaalarmował oddział „Żegoty”. Niemcy pośpiesznie zamknęli pierścień, „Żegota” na pierścień uderzył. Niemcy nie uciekają, uderzył po raz drugi, Niemcy też się trzymają. „Żegota” zawołał przez tubę: *Rozejść się bo wyginiecie.* Niemcy po strzelaninie rozpoznali siłę i rozeszli się. Oddział „Żegoty” wyszedł cało z okrążenia, nie dał się nabrać, żeby wycofywać się w stronę szosy na okopy wroga. Byłem w tym czasie na leśniczówce w

Nadrzeczcu, przez którą przechodzili partyzanci. Mówili, że mają jednego rannego i że za nimi idą Niemcy w dużej odległości. Przeszli przez most na rzece Ładzie w Nadrzeczcu ponad Kopijną Górą do szosy, przez szosę w stronę Korytkowa Dużego i w lasy janowskie. Po odejściu partyzantów, mniej więcej 20 minut później przyszli Niemcy, a jacy odważni, jaka dyscyplina. Kogo spotkali, zabierali go, żeby wskazać, gdzie partyzant, a inni mówili bandyt. Gotowi byli walczyć z partyzantami jak ich nie widzieli, a jakby ich zobaczyli, to by się kryli, w ziemię by wleźli, aby się z nimi nie spotkać. Tak było na Rapach. Ukryli się jak koty i z ukrycia strzelali na ślepo, a potem jak koty uciekali z tego miejsca, gdzie nacierali partyzanci. A przecież partyzanci mieli tabory, które z łatwością przeszły. Wcale nie były ostrzelane przez wroga. Opowiadał mi o tym mój wywiadowca Rogoźny, który się sam wplątał między Niemców. Po ostrzeżeniu partyzantów już nie zdążył wyjść poza pierścień, tylko razem z krowami znalazł się w dolinie rzeki pomiędzy Niemcami i dokładnie widział tchórzliwość Niemców. To go uratowało. Nadmienić należy, że jeszcze w czerwcu 1943 r., w czasie gdy byłem w podchorążówce (około 2 tygodni) w pobliżu stacji kolei wąskotorowej Rapy i szosy Biłgoraj – Zwierzyniec w moim rejonie leśnym, dokładnie tam, gdzie poprzednio stała (szkoliła się) podchorążówka stanęli partyzanci radzieccy, stali tam trzy dni. Podczas postoju złapali jednego konfidenta gestapo zamieszkałego na Bojarach (przedmieście Biłgoraja), a wysiedlonego z ziem zachodnich i zlikwidowali go. Przez nieostrożność wypalili kilka hektarów lasu państwowego. Nie doczekali się mnie i odeszli. Opowiadał mi o tym kolega, gajowy Jachosz Adam. Konfidenti gestapo, których nie rozpoznał wywiad, nie mogli się z tym pogodzić, że stracili kolegę. Często ich widziałem w lesie, pytali delikatnie kto spalił las. Chyba ten z Bojar poszedł do lasu i nie wrócił. Tak przez całe lato konfidenti oskarżali mnie o współpracę z partyzantami, o przynależność do Ruchu Oporu i pełnienie jakiejś większej funkcji w Ruchu Oporu. Do aresztowania mnie z rodziną doszło po raz drugi w listopadzie, dokładnie 21.12.1943 r. tj. mojego ojca i trzech braci, razem 5-ciu, (w domu pozostała tylko skopana matka). W nocy o czwartej nad ranem, w bezksiężycową, pochmurną i zimną noc, z nagimi drzewami bez

liści, ściągnęli całą załogę żołdactwa hitlerowskiego w Biłgoraju, a było ich ponad 600 ludzi. Okrążyli wieś i moją rodzinę pierścieniem dobrze uzbrojonym w broń maszynową. Na polu dymiła kuchnia w pobliżu szosy Biłgoraj – Frampol. We wsi całe gestapo biłgorajskie i około pluton żołdaków do pomocy gestapo. Spędzali ludzi na plac w środku wsi. Jak doszli do mojego domu, gestapowcy zatrzymali się, a żołnierze poszli dalej od domu do domu pędząc ludzi. W moim domu krótka narada, co robić. Przez pierścień nie przebiję się, bo stoją gęsto, a drzewa nagie i już dzień. Niemcy ukryci w dolinie rzeki, 100 m za stodołą, a do lasu za rzeką około 500 m, otwartej przestrzeni i w polu kręci się dużo żołdaków. Zapada decyzja, aby ukryć broń krótką u sąsiada Ukraińca. Jako podejrzany schowałem się do małego schronu w kuchni pod podłogą. Reszta czeka zajęta pracą w gospodarstwie rolnym przy karmieniu inwentarza. Jak wspomniałem ukryłem się w kuchni. Pod kominem wyjmowała się mała deska w podłodze, by wszedł człowiek. Gdy wszedłem bracia założyli deskę. Na tej desce ustawili worki ze zbożem. Wpadają gestapowcy z szefem na czele: *Gdzie gajowy?* Bracia odpowiadają: *Nie wrócił z lasu, jest na pewno w Nadrzeczcu w leśniczówce.* Gestapowcy krzyczą: *Ma być w domu.* Bracia powtarzają: *Nie ma go w domu.* Niemcy oznajmili: *Poszukamy.* Szukają nerwowo i dla postrachu rzucają granaty na podwórzu. Szukają szczegółowo aż doszli do domu mieszkalnego. W domu stukają we wszystkie deski w podłodze. Gdy to stukanie usłyszałem pomyślałem: *Znajdą.* Ściągają worki ze zbożem, stukają, jest. Deskę wyważyli i krzyczą: *Wylaż.* Sami uciekli do sieni i do sąsiedniego pokoju, więc powoli wychodzę w imię Boże, nie tracę nadziei. W drzwiach pokoju i sieni widzę lufy karabinów skierowanych w moją stronę. Gdy wyszedłem podskoczył do mnie gestapowiec Majewski, obmacał mnie naokoło coś szwarnął i wszystkie lufy są na moich piersiach i plecach tak, że mogłem się chwiać i nie upaść. Tak mnie przeprowadzili na lufach na oczach związanych i postawionych pod ścianą rodziców i braci, aż do stodoły. W stodole założyli kajdanki na ręce do przodu. Było ich chyba siedmiu. Powalili mnie na twarz, aż podłoga zadrzęła, ujrzałem dużo gwiazd. Natychmiast usiedli mi na głowie i nogach. Błyskawicznie wyrwałem się spod nich, jeszcze nie byłem wyczerpany. Rzucili się jak

wilki na owcę, położyli na plecach, chwycili za ręce i nogi i już jestem związany w kij. Wyglądam jak kołyska na biegunach. Dwóch silnych brało za kij przesadzony pod kolanami, podnosili do góry i puszczały z siłą na podłogę plecami w dół, lecz to było wyczerpujące. Łatwiej było bić, najprzód po kościach nóg i rąk. Jeszcze dzisiaj słyszę to stukanie i to zawsze powtarzane: *Mów kto należy, ilu was jest, jaka to organizacja, jak się nazywa, kto pali żywicę w lesie, kto spalił las*. Jedni biją, drudzy pytają kto ostrzeliwuje naszych żołnierzy pełniących zaszczytną służbę dla wielkich Niemiec i wiele innych pytań, o których nie chciałem słyszeć i nie słyszałem. Ponieważ często usypiałem, czułem tylko pluskanie wody, budziłem się, widziałem jak przez mgłę ruszające się postacie ludzkie. Szef gestapo machał cepem i wszystkich popędzał, aż mu się dłuższa część cepa złamała. Stanęli, pogadali. Pod stodołą był długi stołek, dość silnie zrobiony. Na nim można było drzewo rąbać. Przynieśli go do stodoły i postawili jednym końcem do młocarni, a z drugiego końca podsunęli sieczkarnię. Położyli mnie na tym stołku plecami do góry, z piersią opartą o stołek. Głowa wychodziła po końcu stołka tak, aby zwisała na boku. W wiadrze stała świeża woda. Nogi przywiązali mi do sieczkarni, pierś do stołka i dwa końce powroza (linki) skośnie w lewo i prawo przywiązali do młocarni. Stanęło dwóch oprawców, jeden z lewej, drugi z prawej. Gestapowiec Majewski pyta się mnie, czy będę mówił to, czego oni żądają ode mnie. Odpowiedziałem: *Nic nie wiem*. On na to: *Zginiesz na tym stołku ch.ju*. Rozpoczęło się młócenie inne jak przedtem, od stóp do pasa, najpierw wolno za każdym razem w innym miejscu, później szybciej. Okropny ból żył od łydki do powyżej kolan. Z bólu musiałem krzyżeć: *O Jezu!* I usnąłem. Obudził mnie chłód wody i znowu to samo bicie i ten sam mój krzyk. Silnie szarpnąłem się i o dziwo powrozy rozeszły się. Zerwałem się ze stołka, upadłem pod młocarnię, ręce w kajdanach padły na szyjkę i spust kbk. Szef Kolb wrzasnął i wyskoczył jak pajac ze stodoły. Nie mogłem zrozumieć co się stało. Bardzo szybko podskakuje gestapowiec i wrywa karabin spod moich rąk. Wrócił szef, machnął ręką i wyszedłem chwiejny ze stodoły z gestapowcem. Pod domem mieszkalnym dołączyli mnie do braci i ojca, których pilnował policjant granatowy z Biłgoraja. Tak powiązanych sznurami w jedną całość

popędzili nas na plac w środku wsi, gdzie żołdacy spędzili już prawie całą wieś. W domu została skopana przez gestapowca matka, krowy i koń. Szafy w mieszkaniu i w komorze zostały oczyszczone z bielizny, garderoby, butów i ubrań świątecznych. Nawet naczynia lepsze zostały wyniesione. Rower załadowano na furmankę, którą to furmanką podjechał konfident gestapo, przepisany z Polaka na Ukrainca K.J. W kilka lat później rozpoznałem buty z cholewami na nogach żony ww. konfidenta. Znaleźliśmy się na dość dużym placu, który to plac rozciągał się półkołem ponad rzeką Ładą, końcami dochodząc jak księżyc do drogi wiejskiej, na której stali szupowcy zamykając wyjście. Za rzeką stał pierścień okrążający wieś. Do lasu było około 500 m. Bładzi, przelęknięci ludzie również stali półkołem ponad rzeką. Brakowało tylko współpracowników gestapo. Gdy tak stanęliśmy obok Krzyża Zbawiciela (Pana Jezusa) gestapowcy popatrzyli po ludziach, że wartaloby z tych młodych ludzi coś wziąć. Po drugiej stronie drogi, nieco wyżej stały budynki gospodarcze z domami mieszkalnymi zwróconymi do drogi wiejskiej. Gestapowcy zabrali mnie do jednego z tych domów mieszkalnych, aby zaczerpnąć wiadomości o tych ludziach, kto należy do organizacji wojskowej i do jakiej. W pustym mieszkaniu, w dość obszernej izbie zaproponowali mi zwolnienie mnie, braci i ojca do domu, jeżeli ujawnię tajną organizację wojskową w Gromadzie i wskażę kto z tych ludzi stojących półkołem na placu należy. Odpowiedziałem: *Nie znam żadnej tajnej organizacji wojskowej.* Krzyknęli chórem: *Zaraz się dowiemy.* W mgnieniu oka obalili mnie na podłogę i na podłodze związali w kij. Rozpoczęły się drugie tortury, z tym że związali mi usta, abym nie krzyczał jak w swojej stodole. Płótno było dość cienkie, można było oddychać i kiwać głową lub nią kręcić. Pytania te same: *Wydadz kogo masz, a będziesz wolny.* Znaleźli obcęgi do wyjmowania gwoździ, stanęli na uboczu z maczugami. Podchodzi dwóch, jeden zaciąga spodnie u moich nóg, drugi rwie zbolące od bicia ciało na nogach. Ściągnął kamasze i bije obcęgami. Drugi podskoczył i bije grubszym kijem. Zalały mnie poty, śpię i słyszę we śnie, jak mnie chłodzą wodą i pośpiesznie odwiązują płótno. Pod wpływem chłodu otwieram oczy i widzę nie to samo co we śnie, widzę siepaczy. Zakładają kamasze bez skarpet, płótnem już nie obwiązują.

Podchodzi ten sam z obcęgami. Dotyka palców u skrępowanych rąk, założonych na nogach kijem przełożonym pod kolanami. Chwyta za wskazujący palec lewej ręki tuż poza paznokciem i naciska. Drugi mówi: Mów to, co chcemy, bo urwę ci palec. Skierowałem wzrok na palec i obcęgi, nie odpowiedziałem. Widzę blady palec, nie będzie bardzo bolało, niech rwie i urwał, bo obcęgi były ostre. Przez moje ciało przeszedł dreszcz i zimne poty. Zrobiło mi się nudno, woda orzeźwiła. Bierze następny palec, średni, naciska, ale puścił i błyskawicznie uderza w paznokieć palca. Podchodzi gestapowiec z płótnem i zawiązuje usta, nos, zostawia oczy. Kładą głowę na podłodze, przyciskają butem końce płótna do podłogi. Leją wodę na wciśnięte w usta płótno. Dobry chłód i zwilżenie warg, ale to zwilżenie krótko trwa. Zaczynam się dusić wodą. Trudno połknąć wodę i nie można wyrzucić przez płótno. Rzucam się resztkami sił, bo się duszę, czuję wodę w oskrzelach, widzialna śmierć. Gestapowcy przechylają mnie za kij na bok, odwiązują płótno. Wylewają wodę z ust i oskrzeli i przychodzę do przytomności. Taką kąpiel stosowali trzykrotnie aż zostałem zupełnie wyczerpany. Niewiele zostało mi życia. Ból krwawiącego, porozrywanego ciała przyćmiły bolące płuca z oskrzelami. Wściekły szef gestapo Kolb, popędzający wszystkich swoich psów (gestapowców) załamał się. Wchodzi i wychodzi i znowu wchodzi. W końcu zwraca się do mnie ze śliną na ustach i po polsku mówi: *W Zamościu będziesz śpiewał*. Odpowiedziałem: *Na pewno nie dojadę*. Wyszedł szybkim, nerwowym krokiem do sieni, wstąpił do komory, wrzasnął po niemiecku, aby na kiju przenieśli mnie do komory. Wskazał dwie stojące obok siebie skrzynie z luką, kazał abym tam wszedł i tak tu zawiesili mnie na kiju za nogi i ręce i wyszli. Zostałem sam z wartownikiem, spojrzałem na palec, zakrwawiony kikut. Wszystkie palce blade, nie ma krążenia, bo nie czuję rąk ani nóg, przez tak długie związanie w kij. Szamotanie się przerwało krążenie krwi w kończynach. Na kiju robi mi się coraz gorzej, w oczach migawki. Głowy nie mogę utrzymać, opada mi do tyłu, aż opadła całkiem. Słyszę jakiś szamot, stukanie butów. Opadłem na podłogę. Chcę się obudzić i nie mogę aż jakiś chłód mnie budzi. Woda, leżę w sieni, nie w komorze. Stoją ci, którzy mnie chcieli wykończyć. Przebiegła mi myśl, teraz wykończą. Pomyślałem, to

dobrze, nie dałem nic, czyste sumienie, mogę umierać. Nie ma szefa. Rozwiązują mnie, wyciągnięty spod kolan kij leży na boku. Jeden z nich pochylił się na kolano i obwiązuje palec. Dopiero teraz poczułem ból, aż mnie zemdliło. W miejscu kajdanek na rękach czerwone opaski, zszedł naskórek, miejscami przecięta skóra. Jestem uwolniony, aby nabrać sił. Po chwili mówią: *Wstawaj*. Podchodzi dwóch z trupimi główkami, podnoszą mnie za ramiona, stawiają opierając o ścianę i puszczają. Padam na podłogę. Przebiega mi myśl, że nie mam kości. Patrzą na mnie i nie wiedzą co robić, kopać czy podnosić. Podnoszą powoli, podają wodę, abym się napił. *Będzie ci lepiej*, ale trzymają. Wyprowadzają mnie na ganek. Tu późnojesienny powiew wiatru osusza poty, chłodzi woda w ubraniu i powoli dochodzę do siebie. Zakładają mi czapkę na głowę mówiąc: *Chodź na plac do szefa, może cię uwolni z rodziną*. Powoli idę po małym, niskim płocie do furtki. Boję się wyjść, aby mnie nie zobaczył tak sponiewieranego ojciec i trzech braci. Tu nie krzychałem, może nie wiedzą, że tak było źle. Na placu przez tłumacza, sierżanta granatowej policji Wysiołowskiego, szef gestapo Kolb krzyczy: *Tu są najgorsi ludzie i tych najgorszych mam w ręku i już nie wrócą do was. Oni do was nie wrócą, wy zaś macie wiernie wykonywać rozkazy władz wielkich Niemiec, bo inaczej spotka was to co ich spotkało*. Obrócił się. Było to już po południu, w niedzielę 21.12.1943 r. Ujrzał mnie idącego powoli przez wiejską drogę do ojca i braci. Podchodzi do nas i przez tłumacza Wysiołowskiego mówi do mnie: *Wydaj wszystkich i wszystko to, o co cię pytam, a będziesz wolny i rodzina twoja będzie wolna. O ile nie wydasz tu do mnie, w Zamościu nie wytrzymasz, wydasz i zginiesz wraz z rodziną*. Odpowiedziałem: *Nic nie wiem*. Załadowali nas na samochód i zawieźli do więzienia w Biłgoraju. Załadowali nas pięciu, to jest, czterech braci i ojca:

1. Najstarszy Jan „Wicher”, lat 28, żonaty, mat marynarki wojennej, walczył na Helu do drugiego października 1939 r., poszedł do niewoli, z niewoli uciekł z kolegą Kochmańskim.
2. Ja, Kazimierz „Grom”, lat 25, nie służył w wojsku, przedwojenny instruktor Przysposobienia Wojskowego i w/f, organizator ruchu oporu od października 1939 r., dowódca 7-mego plutonu w Rejonie Biłgoraj.

3. Wincenty „Żwawy”, lat 23, nie służył w wojsku, przeszkolony w Ruchu Oporu.
4. Bronisław „Student”, lat 19, przeszkolony w Ruchu Oporu.
5. Antoni „Młody”, lat 53, przeszkolony w Legionach 1916 r.

Nadmienić należy, że w tym dniu w Gromadzie gestapowcy aresztowali jeszcze na przeglądzie oczu robotników, którzy niecodziennie chodzili do pracy tj. 18 ludzi + 1 z Korytkowa o nazwisku Kielbasa, razem 19 ludzi. Po wpędzeniu nas na podwórze więzienne, ustawili nas pod murem ogrodzeniowym. Stróża Cieślaka skierowali do nas, aby pilnował porządku wśród nas, żadnej rozmowy. Podchodzi do mnie i mówi: *Jak mogłeś dać się aresztować, aby cię tak sponiewierali.* Milczałem. Tymczasem gestapowcy spędzili więźniów do jednej celi i nas 19 również do jednej celi, do jedyńki. Już się ściemniało, zachmurzenie grube, bezksiężycowa noc. Jestem wywołany na korytarz przez stróża Wolanina zamieść korytarz. Na korytarzu stróż mi mówi, żeby się przygotować na godzinę 6 wieczór do wyjścia z więzienia podczas zmiany straży. Tymczasem o godzinie 5 wieczór przyjeżdża gestapo i szupo. Zgrzyta zamek, otwierają się drzwi. Gestapowiec Majewski krzyczy: *Szybko wybierać się i na korytarz.* Na korytarzu wiążą sznurami po dwóch do kupy i kierują do furtki popędzając maczugami. Ja nie mogłem się szybko zebrać. Bracia i ojciec pomagają mi ubrać się, jednak nic nie mówią. Na korytarzu związali braci i ojca do kupy, mnie puszczają ostatniego, wolno bez wiązania. Przychodzę kulejąc do furtki i widzę jak stoi dwa rzędy szupowców przepłatanych gestapowcami z maczugami. Środkiem wychodzą biegiem więźniowie. Gestapowcy krzyczą i świszczą maczugi, które spadają na więźniów. Więźniowie są zmuszeni biec aż do samochodu stojącego około 40 m od wyjściowej furtki. Na ten widok serce mi się ścisnęło, jak ja pobiegnę skoro nie mogę iść. Stało się inaczej, gestapowcy zajęci biciem mieszały się z więźniami tuż przed nami. Nas braci i ojca prowadzili ci, którzy wiązali, bez kijów i maczug. Wokoło samochodu stało pełno hitlerowców. Z tyłu samochodu stała tankietka. Wszystkich więźniów przywiązali do ławek. Mnie, braciom i ojcu wypadło miejsce z tyłu samochodu. Z nami był Nowiński Michał i Nizio Szczepan, obaj z

Puszczę Solskiej. Wszyscy powiązani sznurami jeden do drugiego i do ławek. Mojemu młodszemu bratu, Niziowi i Nowińskiemu wypadło siedzieć na podłodze. Związani do siebie, wszystkie nasze głowy pochylone do siebie. Tankietka rusza na przód, za nią rusza nasz szupowski samochód. Dobrze jest, ruszamy rękami, może się rozwiążemy i tak się stało. Wszyscy jesteśmy rozwiązani, ale pozorujemy, że jesteśmy związani, ponieważ nad naszymi głowami stoi dwóch młodych gestapowców, a w przodzie siedzi czterech. Nie wolno wychylać się na boki ani wstać, więc mówimy do siebie, a szczególnie do mojego brata, który siedział na środku podłogi z tyłu, aby rozerwał w środku plandekę tuż przy deskach. Brat był dość silny, rozerwał i już jest otwór z tyłu i tak jak szczury dziurą do tyłu wyskakujemy pod Panasówką jeden za drugim, ja czwarty z ławki co zauważyli gestapowcy tylni. Jeszcze leżałem na szosie z tyłu samochodu, a na samochodzie krzyk i wrzawa. Jeszcze jeden rozwiązany brat nie zdążył wyskoczyć. Podbiega do mnie brat, który wyszedł przede mną, chwytą mnie na plecy i biegnie na pole, aby z szosy. Podbiega Nizio „Seroka”, podtrzymuje mnie z tyłu na plecach brata i tak dobiegliśmy do lasu drągowiny, w kierunku wsi Lipowiec. Tu proszę, aby mnie opuścili: *Popatrzymy co się dzieje z tamtymi*. Tamci wyjechali na Panasowiecką Górę, latarkami ściągnęli tankietkę do samochodu, pokrzyczeli i pojechali w stronę Zamościa. I o dziwo w tym zapale ucieczki zapomniałem, że jestem silnie pobity, że mam rany od bicia, od obcęgów, tylko dziwiłem się w myślach czego tak bardzo przewracam się, upadam na każdej nierówności, na patykach. Tak doszliśmy do wsi Lipowiec. W tej wsi wzięliśmy przewodnika, aby nas wyprowadził przez las do drogi na Czarnystok. Stąd znałem wszystkie ścieżki, ale noc była ciemna, że nawet drogi nie było widać w lesie. Patrzyłem do góry i taką luką w sosnowym lesie wyszedłem do Rap Dylańskich, do swojego kolegi, który mieszkał pod samym lasem, nad strumykiem Osą. Pracował w lesie jako stały robotnik leśny. Był to wzorowy żołnierz AK Rejonu Biłgoraj z 6 plutonu Stanisława Borowego „Byłego”. Nazywał się Sędłak Jan „Węgiel”. Była już godzina 11 w nocy. „Węgiel” czuwał, bo nie chciał dać się zaskoczyć jak ja. „Węgiel” mówi: *Całe Rapy w pogotowiu, ale nie tylko Rapy. Wszystkie wsie, na których założyłeś placówki stoją w*

pogotowiu. Wszędzie słycać co to będzie. Na takie bicie, tortury na pewno wydał wszystko. Co ty na to? Odpowiedziałem: Gdybym kogoś wsypał na pewno byście już wiedzieli, dałbym znać przez stróża więziennego. Nie wsypałem nikogo, ani też nie przyznałem się. Znałem przecież pół powiatu Biłgorajskiego, AK, BCh i NSZ. A wiesz - mówi „Węgiel” - na Dylach jest BCh. Mówią, że bechowcy w gm. Frampol stanęli w pogotowiu. Czy i tam masz swoich? Odpowiedziałem: Tak. Nie męcz, daj coś się napić, najlepiej wody z czarnymi jagodami, bo bardzo pragnę. Zawroty głowy nie odchodzą, a całe ciało szarpie z bólu. Nie wiem czy wytrzymam długo i nie wierzę, że ciało dojdzie do normalnego wyglądu i zdrowia. „Węgiel” odetchnął z ulgą i poradził mi, abym położył się na sianie: Chyba o tej porze nie przyjadą aresztować. Przyniosę zaraz wodę, ja będę czuwał, a ty odpoczniesz w spokoju. Twój brat i kolega stoją w leszczynie nad rzeką. Widocznie są niepewni, że tu będzie spokój. Napiłem się i zasnąłem. Sny były okropne, uciekam, gonią mnie Niemcy, strzelają. Widzę matkę w rozpacz, jak klęczy i głośno woła: Wróć Boże Wielki i potężny dzieci moje i ojca dzieci naszych. A wokoło mojej matki gady syczą, żmije czerwone. Pies podwórzowy szczeka na gady i odpędza. Ja przychodzę, odpędzam gady, a matka klęczy i nie widzi mnie tylko Boga prosi: Boże wszechmogący niech wrócą wszystkie dzieci. Obudziłem się i nie wiem, gdzie jestem. Gorączka suszy język. Wiem, gdzie jestem, szukam wody w garnku, znalazłem. Zimna a ja gorący, ale delikatnie połykam. Po chwili przychodzi „Węgiel” i mówi, że zbliża się czwarta. Koguty już pieją i wypadaloby byśmy wyszli do lasu. Poszliśmy. Po drodze dołączył brat „Żwawy” i Nizio „Seroka”. Jeszcze długo czekaliśmy zanim zrobił się dzień. Nasłuchiwalismy, czy psy nie szczekają w Rapach. Mnie pilno było do Nadrzecza pokazać się tamtym kolegom, aby byli spokojni, więc wysłałem „Serokę” z asygnatą na drzewo opałowe. Powiedziałem, gdzie ma dzisiaj pracować z ludźmi gajowy Jachosz Adam. Odciągnij go do tego drzewa i niech przyjdzie tu do mnie. Nizio odszedł i wrócił z gajowym. Zaś Sędlak Jan „Węgiel” poszedł do miasta do szpitala powiatowego w Biłgoraju, gdzie pracował doktor Kowalik Michał i opowiedział mu po co przyszedł. Doktor Kowalik zabrał leki w teczkę i przyszedł z „Węgłem” do mnie do lasu. Było już południe, nie było

obawy, że Niemcy po południu przyjadą więc poszliśmy do mieszkania Sędłaka Jana „Węgła” w Rapach w celu opatrzenia ran w ciepłe, a nie na dworze. Rany i palec zasypałem proszkiem. Zostawiłem butelkę wódki. Kazałem moczyć lniane płótno w czystej wodzie, wycisnąć, nakropić wódką lub spirytusem i okładać tam, gdzie ciemne ciało i ciemne rany. Zdawało mi się, że to ten lek zbliży śmierć. Gdyby palec rwał i zmienił się na ciemny granat, to dać znać. Życząc zdrowia odszedł sam mówiąc, że drogę rozpoznał i łatwiej jest iść samemu. Przy lekarzu wszedł Skiba Szczepan „Longinus”, wywiadowca terenowy z Nadrzecza i oznajmił, że obszedł las nad Majdanem Gromadzkim, nad Gromadą i w kierunku Rap. Wszędzie spokój, życie płynie normalnie na tych wsiach. Odchodzi gajowy Jachosz i Skiba „Longinus”. Gajowy Jachosz bierze brata „Żwawego” i Nizia „Serokę” na obiad do lasu w pobliżu Nadrzecza. Ja zostaję u Sędłaka Jana „Węgła”. Po okładach wypoczywam na strychu domu mieszkalnego na sianie, ponieważ w mieszkaniu w ciepłe było mi mdło. Do następnego dnia spałem możliwie, tylko ciało niby grzało, palec nie bardzo szarpał. Jest wtorek. W czwartek mam spotkanie z komendantem Rejonu Biłgoraj z Józefem Steglińskim „Cordem”. Spotkanie było wyznaczone przez „Corda” jeszcze przed aresztowaniem. Mam nadzieję, że „Cord” zaopiekuje się mną i gdzieś mnie skieruje na leczenie. Minęła środa, ja nie mogę zejść ze strychu, okłady na zimnie. Przyszedł czwartek rano, zmuszam się zejść no, bo komendant coś doradzi. Do drugiej po południu rozruszam się. Zaskrzepione rany popękały, niby ropieją. Nie dam rady tam zejść na spotkanie. Jestem w mieszkaniu, ciepłe okłady, pomyślałem, że tu lepiej. „Węgła” wysłałem po gajowego Jachosza. Jachosz był niedaleko w lesie. Przychodzi do mieszkania i pyta: *Czy gorzej, bo nie widać na twarzy.* Ja na to: *Nie, inna sprawa. Mam umówione spotkanie z „Cordem” o drugiej po południu, oto jest szkic spotkania w lesie. Ja nie mogę, idźcie wy za mnie powiedzieć jak jest ze mną i że proszę o leczenie gdzieś indziej, w bezpiecznym miejscu. W sobotę „Cord” ma spotkanie z Borowym Stanisławem „Byłym”. To jest niedaleko stąd i tam pójde sam. Może dojde.* Już noc, wraca gajowy Jachosz Adam i oświadcza: *Byłem tam do nocy i nie spotkałem „Corda”, ani nikogo innego. Oto ten znak, który zawiesiłeś w miejscu spotkania. Przyniosłem, abyś uwierzył, że tam byłem, bo skąd*

bym wziął tę oto kalinę. Ile ziaren miało być? Odpowiadam: Dwanaście. Na to Jachosz: Jest dwanaście, licz. Sprawdzam: Tak jest dwanaście. Jachosz mówi: „Cord” liczył, że wysypałeś. Na spotkanie z Borowym „Byłym” też nie przyjdzie, bo o tym spotkaniu wiedziałem i tam jest ten sam znak. Do Borowego „Byłego” (leśniczy lasów państwowych) wysłałem Sędłaka „Węgla”, u którego jestem, aby oznajmił „Byłemu”, żeby po spotkaniu z „Cordem” przyszedł do mnie i opowiedział o czym mówili. Jakie są dalsze rozkazy dla dowódców plutonów. Z niecierpliwością czekałem soboty i oto w sobotę po południu przychodzi do mnie dowódca 6-go plutonu (ja jestem dowódcą 7-go plutonu), leśniczy Borowy „Były” i oznajmia: „Cord” nawalił. Oto ten znak, 6 ziaren jarzębiny. Stwierdzam: Tak 6 ziaren, które „Cord” założył w mojej obecności. I co dalej? Biłgoraj zerwał z nami łączność. Jeszcze kilka dni czekaliśmy obaj na połączenie z Rejonu Biłgoraj. Na próżno. Wysyłam gajowego Jachosza Adama do Kochmańskiego Michała „Gryfa”, komendanta wywiadu w Biłgoraju. Nie ma go w domu i nie ma poczty już ponad tydzień. Widocznie nie wierzą, że nikogo nie wydałem, a może boją się, że mój starszy brat „Wicher”, „Burza”, który jest w więzieniu w Zamościu i tam na większych torturach jak tutaj może się załamać. Jak się później okazało, bracia moi i ojciec nie wydali nikogo i za wszystkich oddali swoje życie. Odeszli z czystym sumieniem w dniu 21.01.1944 r. chyba na Rotundzie w Zamościu.

Należy cofnąć się jeszcze do połowy 1943 roku. Ktoś z konfidentów gestapo, a może z aresztowanych wydał w gestapo w Biłgoraju, że w budynku stojącym tuż przy chodniku ulicy Kościuszki, dawniej Piłsudskiego, naprzeciw siedziby gestapo po drugiej stronie ulicy, tam gdzie są dwa sklepiki i warsztat wulkanizacyjny mieści się jakaś tajna wojskowa komórka lub biuro. Pewnego dnia w maju, może w kwietniu szupo i gestapo okrąża ten bardzo starej budowy domek i przeszukuje wszystkie mieszkania, komórki, strych i sklepiki. I rzeczywiście w pokoju, czy kuchni, od tyłu warsztatu wulkanizacyjnego mieściła się cała dokumentacja Rejonu Biłgoraj wraz z komendantem „Cordem” i jego służącą, zaprzysiężoną do pracy w tym rejonie. Było to wszystko w dwóch workach, jak mi później opowiadał „Cord”. Oba worki podał na plecy swej służącej Julii Trębuła „Klementynie” i ona „Klementyna” z

uśmiechem na ustach idzie na wprost gestapo. Gestapowcy ją znali jako pyską handlarę i mówią: „*Julia co niesiesz? Ona odpowiada: Szmugiel. Kupujcie tanio sprzedam, jeszcze coś dodam.* Gestapowcy mówią: *Nie kupujemy i nie chcemy.* Klementyna gadając przeszła przez pierścień i tak uratowała życie wielu ludziom. Wulkanizator Zygfryd Koman „Cord” (takie miał nazwisko przybrane) pracował bez zakłóceń. Niemcy przeszukali wszystkie zakamarki w tym domu, nic nie znaleźli i odeszli. Jednak po wysiedleniu ludności pow. Biłgoraj zainteresowali się tym domkiem. Łatwo im było obserwować dom naprzeciwko gestapo. Na pewno swoim konfidentom rozkazali go obserwować. Zainteresowali się warsztatem wulkanizacyjnym, do którego tak dużo chodziło ludzi. Nazwisko niemieckie, ale go rozpracowali. Dowiedzieli się od kogoś, że wulkanizator to oficer wojsk polskich prowadzący polską organizację wojskową. Jesienią 1943 r. gestapowiec Majewski z drugim gestapowcem weszli do warsztatu trzymając dętkę od samochodu i pytają „Corda” pochylonego nad klejeniem: *Czy jest szef? Odpowiedział: Nie ma. Wyszedł, wróci za 2 – 3 godziny.* Gestapowcy na to: *Dobrze, jak wróci niech na nas zaczeka.* „Cord” napisał kartkę: *Z braku materiału warsztat zamknięty.* Wywiesił ją na zamkniętych drzwiach, wyszedł i nie wrócił. Wyszła i „Klementyna”. Od tego czasu stał się partyzantem bez partyzantów wokół siebie. Mieszkał w domu „Klementyny” na Bojarach, często wychodząc na kilka dni do placówek i plutonów rozlokowanych po wsiach południowo – wschodniej strony Biłgoraja. I chyba z tego powodu nie wyszedł na spotkanie ze mną, w czwartek 25.11.1943 r. i z „Byłym” w sobotę 27.11 tegoż roku. Z powodu niemożności połączenia się z Rejonem w Biłgoraju, postanawiamy z Borowym Stanisławem „Byłym” abym stąd wyjechał gdzieś dalej. Z polecenia „Corda” rozpracowałem wszystkie wioski gminy Frampol po Radecznice. Był to teren górzysty, bardzo nieprzystępny, poprzecinany gęsto zarośniętymi wąwozami. Do niektórych wsi były tylko dwie drogi. Prawie na każdej wsi znałem komendanta placówki BCh. Na dwóch wsiach było NSZ. Z BCh byłem zaprzyjaźniony z różnych powodów. Znali mnie jako komendanta BCh spod Biłgoraja. Wieść o moim aresztowaniu i okropnym śledztwie rozeszła się błyskawicznie po placówkach BCh. Jeszcze prędzej rozeszła

się wieść, że uciekłem, że wyciągnęli mnie z kryjówki, że nikogo nie wydałem, co było wielką ulgą, że urwała się gestapo nić. Pozostali bracia i ojciec nie wiedzieli co kto robi. Znali sytuację tylko w przybliżeniu i mniej więcej. Po dwóch tygodniach Stanisław Borowy „Były” podjeżdża swoją furmanką pod Chlebne (dwa domki w lesie). Tak było umówione, aby wyjeżdżać zmrokiem i nie ze wsi. Zanim dojedziemy do wsi w Żelebsku i Ignatówce będzie noc. W nocy nie będzie łatwo mnie rozpoznać. Nocą przejechaliśmy przez Ignatówkę. W Żelebsku było bardzo ciemno bez śniegu i gwiazd, lecz znaleźliśmy drogę przez Trzęsiny obok kościoła rzymsko-katolickiego. Wjechaliśmy w wieś Smoryń. W Smoryniu pod górą mieszkał samotnie w środku 6-cio morgowego sadu po folwarku, Makowski Stanisław, przyjaciel Borowego Stanisława „Byłego”. Proponuje: *Wstąpmy do niego na kolację.* Wyrażam zgodę i wstąpiliśmy. Leśniczy Borowy oddaje furmankę służbie, bo taki był zwyczaj, zaś my kierujemy się w stronę domu. Ktoś już nas zgłosił, bo przed dom wychodzi gospodarz Makowski w średnim wieku i zaprasza nas do mieszkania. Po drodze mówi, że już wie wszystko o aresztowaniu, o śledztwie i ucieczce i rad jest widzieć. Wchodzimy do obszernej izby, dawnej kuchni dworskiej. Po środku stoi szeroki i długi stół dębowy na krzyżakach. Przy kominie jest ciepło, bo matka Makowskiego gotuje kolację (żona zmarła). U sufitu palą się dwie naftowe lampy. Siadamy przy dużym stole na ławie stojącej wokół tego stołu. Pan Makowski opowiada pośpiesznie co słyszał o mnie. Przychodzi matka od kuchni i z dobrocią na twarzy przysłuchuje się opowiadaniom. Wtrąca się do rozmowy: *Patrzcie na nim wszystko widać. Cała twarz odarta z naskórka, a miejscami jeszcze krew widać i na rękach krwawiące obrączki od kajdanek. Jak przyjdzie służba to rozpozna, a wiele o nim słyszeli od ludzi. Boję się, że rozgadają się, że tu taki był.* Po krótkiej naradzie postanawiamy mówić, że w nocy w Żelebsku wjechaliśmy na kamień i wóz się wywrócił, a ja jak ryba pojechałem po zboczu góry na dół i tak się poszarpałem. Jedną lampę wyłączyli, aby był mniejszy widok. Nadchodzi służba i zasiada za stół do kolacji. Służba bardzo mną się interesuje, widząc tak poszkodowanego na twarzy. Nie mogą uwierzyć, że to jest z wywrotki furmanki choćby nawet w wąwozie, bo na rękach obrączki widać. *Po czym one są?*

Odpowiedziałem: *Po zaplątanych gałęziach.* Po krótkiej rozmowie rozeszliśmy się. Leśniczy Borowy jeszcze na chwilę wszedł ze mną do pokoju, ponieważ zaprosił nas pan Makowski i zaproponował, abym na kilka dni został u niego. Mówi: *Kryjówki są dobre i w każdej chwili można się ukryć, hitlerowcy nie znajdują. Ja jutro pojedę do Biłgoraja i dowiem się o wszystkim.* Leśniczy Borowy „Były” odjechał do domu, a ja po opatrunkach położyłem się do łóżka. Pan Makowski wyszedł i tyle go widziałem. Trzeciego dnia wstałem i próbowałem, czy będę mógł pójść dalej. Dwie małe dziewczynki poleciały do babci, mówiąc głośno: *Babciu pan wstał, może chodzić, chodzi po pokoju.* Babcia przychodzi i mówi: *Niech pan jeszcze odpoczywa, syn niedługo wróci z miasta.* Zjadłem obiad, pogawędziłem z panią Makowską. Oznajmiłem: *Nie chcę was narażać na niebezpieczeństwo. Mam zaproszenie na Teodorówkę, ale chwilowo zatrzymałem się u państwa, bo to była noc i koń okazał się za słaby do drogi po gliniastym błocie. Stąd już niedaleko do tych, którzy mnie zapraszali.* Pani Makowska zaproponowała: *No to parobek podwiezie.* Nie zgodziłem się: *Proszę pani chciałbym, aby nikt nie wiedział, gdzie będę mieszkał i się leczył. Śnieg zaczyna padać i zanim upadnie większy ja już będę na miejscu.* Ucałowałem ręce pani Makowskiej i wyszedłem. Idę w nieznane. Nikt nie wie gdzie jestem. „Były” milczy i nikomu nie mówi, gdzie mnie zostawił. Zdawało mi się, że będę mógł iść, że to niedaleko do Teodorówki, a tu idę, idę, śnieg w oczy bije i nogi nieposłuszne. Biorę kij i podpieram się. Przechodnie oglądają się, a mnie żal, że miałem dobrze i wyszedłem, ale i bałem się. Pan Makowski uciekł do szwagra, boi się widocznie. Służba może się wygadać, że ktoś pobity, a może zbieg leży u nich i w ciągu kilku dni wiedzą konfidenci. Na takich i innych rozmyślaniach doszedłem do głębokiej do 100 m studni. Tu stało dużo młodzieży czekając na swoją kolejkę do wody. Weseli, śmiejący się, zwrócili na mnie uwagę: *A co to za kulawy dziad o kiju, ledwie się wlecze. Taka ciemna noc i śnieg, skąd to taki może być? Dawno widzieliśmy dziada.* Jakiś odważniejszy podskoczył, spojrzał w mi oczy i mówi z cicha: *Chłopcy to nie dziad, to młody. Coś mi to przypomina. O Jezu! Już coś wiem, ale nie powiem.* Ustały śmiechy i zapanowała cisza. Każdy myśli po swojemu i mówi po swojemu. Słowem moja nędza przeszła na tutejszą młodzież. Studnia

przestała zgrzytać. Poweselałem, że są tacy, którzy mi współczują, że mogą dać mi pomoc. Przyspieszam kroku, bo to już jest trochę z góry. Do mojej ulubionej Weroni jeszcze daleko, ale czy przyjmie ściganego kawalera. Co powie jej ojciec? Matka dobrota, może przyjmie. Na takich to rozmyślaniach doszedłem do ulubionego domu, wycenionej nad wszystkie panienki, Weroni Zdunkówny. Wiedzieli już o mnie wszystko, ale nie wyczułem wrogości. Ojciec Weroni proponuje mi, abym u nich pozostał dłuższy czas. U nich będzie bezpiecznie: *W razie nadejścia Niemców jest dobra ucieczka przez stodołę do wąwozu, który prowadzi pod Radecznicę. Miejscowi ludzie przychodzą do kuchni, a ty będziesz w pokoju.* Matka Weroni jest zadowolona z propozycji męża i tak zostałem na wiele dni, aż się wyleczyłem. Tu uczyłem się chodzić i tu zagoiło się poszarpane ciało. Ciemne, granatowe ciało zmieniło się na jasno żółte, a zdawało mi się, że ciało moje zgnije na kościach i odpadnie. Stąd, od państwa Zdunków wyruszyłem ścieżkami, na których było bardzo mało śniegu, do swojej mamy w Gromadzie do rodzinnego domu. Chciałem się pochwalić, że jestem zdrowy, że dobrzy ludzie przyjęli mnie i wyleczyli. Resztkami sił doszedłem do Nadrzecza do pustej leśniczówki dzierżawionej przez p. Alwina Stefana z Poznania. Była ciemna, zimowa noc. Wieś Nadrzecze otoczona jest lasami ze wszystkich stron. W końcach tej wsi i wewnątrz mam swoich żołnierzy, wiernych kolegów i swoich dwóch zastępców- gajowych. Przed odjazdem z tych stron powierzyłem im swoją funkcję nie mówiąc, gdzie odjeżdżam, bo i sam nie wiedziałem kto mnie przyjmie. Gdyby nie szosa Biłgoraj – Frampol oddalona od wsi około 1,5 km, była by to miejscowość bardzo bezpieczna. Dzisiejszej nocy zgłaszam się do gajowego Jachosza Adama, który przyjmuje mnie z otwartymi rękami, wielce zdziwiony, że chodzę na własnych nogach. *Dzień i noc myślałem o tobie, czy żyjesz, czy chodzisz. Chodź do pokoju, ogrzejesz się. Wiele mamy spraw do omówienia i żona rada cię zobaczyć, i wszyscy koledzy, i państwo Alwinowie mają pokój w leśniczówce przygotowany. Trochę u mnie porozmawiamy, zjemy kolację i pójdziemy do pana inżyniera, kapitana Alwina, ponieważ codziennie wypytują, co o Kaziku słychać.* W czasie rozmowy najwięcej chciałem słyszeć o matce i o bracie. Matka według ich rozpoznania jest w domu, skarży się na nogę,

ale o bracie moim nie mogli się nic dowiedzieć. Przypuszczali, że jest obok mnie. Pytali: *Jak mogłeś tak sam między obcymi ludźmi leczyć się, przecież mogli cię wydać, a nagroda jest wysoka, 15000 zł za ułatwienie lub wydanie w ręce niemieckie.* Przytaknąłem: *Tak wiem o tym, ale ja byłem u swoich, na placówce BCh. Tam mam dobrze. Oni sami dbają o to, abym nie wpadł w niemieckie ręce. Poznałem ich jeszcze daleko przed pierwszym aresztowaniem. Całą gminę Frampol mam rozpoznaną i wiem kto jest komendantem placówek po wsiach. Są to bardzo dobrzy ludzie. Tacy jak ja są im potrzebni. Tamten teren jest nieokupowany. Tam niektórzy ludzie nie widzieli Niemców, bo mają moc kryjówek, a i Niemcy czują tam lęk. Po drugie, mam w Teodorówce narzeczoną Weronię Zdunek. Poznałem ją już dwa lata temu. Jestem u jej rodziców i u niej. Jest sama z rodzicami. Odżywia mnie znakomicie, prawdziwa pielęgniarka. Chciałbym, jeżeli przeżyję wojnę, ożenić się z nią gdyby chciała. Nie macie pojęcia jaka miła dziewczyna. No ale przejdźmy do spraw organizacyjnych. Trzymacie się kupy? Poczty otrzymujecie? Bo tam gdzie jestem poczta jest opóźniona i mało wiem.* Odpowiada kolega Jachosz Adam: *Dwa tygodnie był bałagan, ale teraz wszystko jest w porządku. No to teraz idziemy do państwa Alwinów na drugą stronę drogi. Idziemy pojedynczo, aby na nas nikt nie zwrócił uwagi. Spotkaliśmy się pod drzwiami. Państwo Alwinowie przyjęli mnie z wielką radością. Jak zwykle bardzo inteligentni Polacy, zasypywali mnie pytaniami i współczuli mi bardzo i często powtarzali: *Jaka pustka jest bez pana, jak pełno nas było każdego dnia.* Po dłuższej rozmowie udałem się spać na leśniczówkę, w następnym obszernym domu z wieloma pokojami. Jeden pokój był mój. Następnego dnia zeszli się koledzy z Nadrzeczca, a było ich dziesięciu w małej wsi, reszta to starzy. Nawet sąsiedzi nie zwrócili uwagi po co chłopcy i starsi, młodzi i żonaci byli w leśniczówce. Wiadomo było każdemu, że do leśniczówki wielu ludzi chodziło i chodzi, ponieważ p. Alwin znany „liściarz” suszył liście runa leśnego w suszarce, kroił je drobno i odwoził do PSS w Biłgoraju jako herbatę dla Polaków. Pan Alwin z żoną Marysią uciekł z Poznania (czy był wysiedlony) przed Niemcami, ponieważ takich Polaków jak on, Niemcy mordowali. Zatrzymał się tu w Nadrzeczcu. Po wojnie odjechał do Poznania, gdzie został dyrektorem Szkoły Rolniczej. Pan*

inżynier suszył także grzyby dla PSS. Następnego dnia, a było to już po nowym roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego, postanowiłem odwiedzić matkę i poszukać brata. Po drodze nałamałem gałęzi brzoźowych, z których miejscowa ludność robiła miotły do zamiatania mieszkań. Założyłem na plecy tak, aby nikt nie widział mojej głowy i ramion. Tak doszedłem wiejską drogą do domu rodzinnego w Gromadzie do matki. Piały już koguty. Nie spotkałem nikogo. W prawej ręce trzymałem wisa gotowego do strzału. Matka nie spała, bo bolała ją noga. Lampy nie świeciła. Zapukałem do okna, pod którym zawsze spała. Matka ostrożnie wyjrzała przez okno i do śniegu mnie poznała. O lasce poszła do drzwi, odsunęła zamek. Wszedłem i zamknąłem drzwi na zamek. Matka wiedziała już, że jestem w Nadrzeczu, 6 km od Gromady. Nie płakała. W Święta Bożego Narodzenia była w szpitalu. Zaropiało jej kolano, kopnięte butem gestapowca w czasie aresztowania. Miesiąc temu operował je doktor Pojasek Stanisław w Biłgoraju. Zapytałem o brata Wicka: *Gdzie jest? Mama odpowiedziała: W domu, w kryjówce w stodole, na zimnie. W nocy jak koguty pięją drugi raz przychodzi się ogrzać. Mówię do niej: Mamo on się wykończy w takich warunkach. Ja u ludzi śpię bezpiecznie w mieszkaniu i cały dzień jestem w mieszkaniu. Może i on się tam gdzieś zmieści. Ja go zabiorę stąd.* Matka przerywa: *Koguty pięją po raz drugi, idź odsuń drzwi, zaraz przyjdzie.* I tak było. Pierwsza w nocy, przychodzi brat, ostatni z czterech braci. Namawiam brata, aby poszedł ze mną. Nie będzie siedział jak szczur w norze, tylko z ludźmi. Dał się nakłonić. Obcałowaliśmy ręce matki, wzięliśmy trochę chleba pieczonego przez kulawą matkę i odeszliśmy. Przed sobą mieliśmy ponad 15 km do Teodorówki. Tam przyjął nas brat mojej Weroni. Mieszkał po drugiej stronie drogi wiejskiej. Twierdził: *U ojca mojego i u Weroni, już za długo tego pobytu.* Jednak z Weronią spotkałem się wieczorem i zapraszała. Śpimy jedną noc u jej brata Paulina Zdunka. Od niego zabrał nas nauczyciel Sokołowski z Radzięcina, ten który ze mną rok temu siedział w więzieniu w Biłgoraju. Sokołowski Józef, przedwojenny nauczyciel mieszkał nad rzeką Ładą w Radzięcinie w starym domu bez podłogi, na glinie (tam było dużo takich domów). Od Sokołowskiego powędrowaliśmy na Starowieś (wszystko gm. Frampol) do Białasa

Stanisława. Tam byłem przez kilka dni i tam zostałem zaproszony z bratem do Komodzianki do Odrzywolskiego Wojciecha. Odrzywolski był komendantem placówki w Komodziance. Brata ulokował u Oleszka Stanisława, a mnie zostawił u siebie. W Komodziance, a mało takich wsi było, wszyscy należeli do Polskiej Organizacji Wojskowej pod nazwą „Bataliony Chłopskie”. W tej wsi można było chodzić z bronią po całych dniach. Nikt nikim się nie interesował, a było nas takich więcej. Tylko młodzież czuwała, aby obcy nie przychodzili. Do wsi wiodły tylko dwie drogi. Droga od Teodorówki była obserwowana. Wieś w górach, bardzo gościnna. Wszyscy wierzący w Boga i gorliwi katolicy. U Odrzywolskiego Wojciecha mieszkałem w ich kuchni ponad dwa miesiące. Tak samo brat u Oleszka Stanisława. Nie zapłaciliśmy do dzisiaj za wyżywienie i mieszkanie. Mnie Polska Ludowa nie zapłaciła za zmarnowane zdrowie w obronie innych obywateli Polski. Ja nie mam pieniędzy na zapłacenie swoim żywicielom i opiekunom. W każdym tygodniu jeden raz dochodziłem do Nadrzecza do swoich kolegów, z którymi spotykałem się w leśniczówce, ponieważ beze mnie czuli się źle, chociaż poczta i wywiad funkcjonował. W leśniczówce wyżywienie otrzymywałem od p. Alwina Stefana i Jachosza Adama, gajowego. Z Komodzianki bardzo często z kolegami chodziłem na Teodorówkę do ulubionej Weroni. *Och Weronia, jak ja Cię cenilem i kochałem. Ten tylko się dowie kto stracił dobrą narzeczoną.* (panna Weronia wyszła za Wójcika Franciszka z Radzięcina w tym czasie, gdy ja walczyłem, uznając mnie za poległego). *W Twoim domu czułem się bezpiecznie, chociaż wiele takich domów było.* Mama Weroni częstowała mnie jabłkami z własnego sadu, pytając jak syna własnego, czy jestem głodny, jak zdrowie. Zawsze była uśmiechnięta do mnie jak własna matka. Ojciec Weroni, Jakub Zdunek, poważny człowiek, zawsze służył dobrą radą. Nigdy nie spodziewałem się, że drogi nam się rozejdą. Każda piesza wędrówka z Komodzianki do Nadrzecza wymagała dla chorych nóg dłuższego odpoczynku. W środku zimy 1944 r. wyszedłem z Komodzianki w śnieżawicę na znane ścieżki i jak to w górach, wiatr zasypywał śniegiem doliny. Mróz był ostry. Wylałem wiele potów zanim doszedłem do lasu. W lesie na równinie, między drzewami śnieg nie bił w twarz. Droga i ścieżki były równo zasypane. Zanim doszedłem

do Nadrzecza, ostygłem z potu i dostałem zapalenia płuc. W Nadrzeczcu, w pokoju leśniczówki leżałem kilka dni. Wiele trudu mieli państwo Alwinowie i gajowy Jachosz, ponieważ miałem bardzo wysoką temperaturę ciała. Lekarze w Biłgoraju byli pod ciągłą obserwacją i wydali tylko leki. Po kilku dniach temperatura opadła, co pozwoliło mi odejść do Komodzianki. W drodze do Komodzianki dostałem anginy. Zaropiał mi przełyk i gardło, ale na tę chorobę babki wiejskie zastosowały zioła. Po pewnym czasie ropa zesza, zostały tylko zagłębienia w gardle. Są do dzisiaj. W Komodziance koledzy z BCh również mnie oczekiwali, ponieważ przynosiłem świeższe wiadomości. Tu w góry poczta się opóźniała i późniejsze były wiadomości o klęsce hitlerowców. Na początku lutego 1944 r. pomimo strzeżenia drogi od Frampola, z przeciwnej strony od wsi Gorajec, wjechali do Komodzianki na furmance dwaj gestapowcy i policjant granatowy z Biłgoraja oraz komendant granatowej policji z Frampola. Podjechali pod dom p. Odrzywolskiego Wojciecha, w którym mieszkałem. Granatowy policjant zeszkoczył z furmanki, wpadł do mieszkania Odrzywolskich, pytając dzieci i matki, żony Odrzywolskiego: *Kto tu u was mieszka? Gdzie on jest?* Odpowiedzieli: *Tu nikt nie mieszka.* Szybko obejrzał pokój i kuchnię i pobiegł do furmanki najeżonej lufami automatów. Popędzili w stronę Teodorówki i Radzięcina do Frampola, a z tyłu za nimi strach przed Ruchem Oporu. Zatrzymali się aż na Kolonii Sokołowskiej. Tam napadli na dom katolików pochodzenia żydowskiego. Z domu tego wybiega na pole żona z dzieckiem, a mąż jej wyskoczył w koryto rzeki oddalone 200 m i tym się ocalił. Żona z dzieckiem została zabita na polu. Gospodarstwo to oddalone było od szosy Biłgoraj – Frampol około 400 m, co umożliwiło im ucieczkę, ale nie w tę stronę uciekała matka z dzieckiem. Natomiast po drugiej stronie szosy, na tym samym polu z domu wybiegli mieszkańcy w stronę lasu oddalonego o 500 – 700 m. Widząc to, gestapowcy zapalili ich zabudowania gospodarcze wraz z inwentarzem żywym i martwym. W pośpiechu opuścili teren zbrodni. Dobrze się stało, że tego dnia wyszedłem do sąsiadów, bo gdybym był w domu Odrzywolskich, wywiązałaby się strzelanina. Za pasem na brzuchu nosiłem pistolet (wisa). Tamci z furmanki strzelaliby, przez co i oni by nie wyjechali żywi, ponieważ w

tej wsi Ruch Oporu BCh błyskawicznie przeprowadzał alarm. Na górze w karłowatym lasku sosnowym, przez który musieli przejeżdżać gestapowcy już na nich czekali, a do tyłu też nie było możliwości się wycofać. W styczniu 1944 r. gestapowcy z Biłgoraja zmienili komendanta policji granatowej we Frampolu. Nowy komendant otrzymał zdjęcia ludzi ukrywających się w gminie Frampol. Rozkazali, aby komendant sprawdził wszystkie wsie w gminie, czy nie ma takich ludzi. Pewnego zimowego dnia przyjechał ów komendant ze swoimi podkomendnymi policjantami do Komodzianki. Zatrzymał się przy głębokiej studni wiejskiej, a była to jedna taka studnia na całą wieś. Ludzie czekali przy studni z wiadrami po wodę. Dumny pan komendant wyjął zdjęcia, popatrzył i zauważył podobnego. Poprosił o dowód (kenkartę). Odpowiedział: *Nie mam*. Komendant rozkazał: *Wsiadać na furmankę*. A ten na to: *Nie. Zostanę tu*. Tajny komendant placówki tej wsi, u którego mieszkałem, Odrzywolski Wojciech, mężczyzna silny i duży widząc to, zbliżył się do policji mówiąc: *Zostawcie go*. Komendant oburzony krzyknął grubo na jednego i drugiego. Odrzywolski pewny siebie: *Zostawcie go, bo nie wyjedziecie*. Komendant ryknął na swoich: *Brać go na furmankę*. Wyjechali z „owieczką” z dołu na górę, wjechali do lasu, a tu niespodzianka. Odezwały się rkm-y i ktoś głośno woła: *Z furmanki zejść!* Spłoszony komendant pierwszy zeskakuje, a za nim jego koledzy. Rkm-y grają, a oni uciekają po śniegu, bez drogi. Bechowcy popędzają. Na furmance pozostał woźnica i aresztowany. Policja ucieka pieszo aż do Frampola, do swoich pieleszy. Odpoczywają razem zaryglowani, komendant chwytając za korbę aparatu telefonicznego krzycząc i dysząc, że zaraz przyjedzie Biłgoraj, uspokoi chamów i wypalą wieś za zniewagę. Koledzy policjanci chwytają go za rękę: *Panie komendancie co pan robi, zgubi pan siebie i nas. Oni tu zaraz dowiedzą się, że wzywaliśmy Niemców i co dalej*. Po pewnym czasie przychodzi do tak siedzących w swojej bazie policjantów niewiasta i podaje list komendantowi. On czyta: *Czy nie lepiej było panie komendancie jechać do Frampola na furmance, tylko iść pieszo? Przyjedźcie do nas, ugościmy was. Zapraszamy*. Komendant chwilę pomyślał, a potem do kolegów policjantów złośliwie przemówił: *Wy wiedzieliście jak tu jest i nie ostrzeżliście mnie. Wystawiliście mnie na pośmiewisko. Zapraszamy nas*.

*Czy warto się pogodzić? Milczenie. Komendant pyta dalej: To jak milczycie. Mówcie co robić? Odpowiedzieli: Komendanta decyzja. Komendant na to: Jutro rano weźmiecie furmankę i tam pojedziemy. Przyjechali, pogościli się i odjechali w dobrym humorze. Odtąd pan komendant nie szukał, nie sprawdzał, nie widział, dla każdego był uprzejmy i ludzie dla niego byli uprzejmi. Tym aresztowanym był komendant wojskowy BCh, przedwojenny adwokat, Bryła „Tom”, poszukiwany przez gestapo w Biłgoraju. W Komodziance ukrywało się wielu poszukiwanych, między innymi komendant powiatowy AK Gniewkowski Józef „Orsza”. Spośród nich wszystkich największą przychyłność mieszkańców tutejszej wsi, odczuwałem ja. Nazywali mnie tutaj „bohaterem” z tego powodu, że przed aresztowaniem znałem ich placówki we wszystkich wsiach, a mimo okrutnych tortur zadanych przez gestapo nikogo nie wydałem i uwolniłem się z transportu więźniów o własnych siłach. Wierzono, że gdybym ponownie wpadł, to nie wydam. Toteż każdy mnie rad widział i gościł u siebie. Najbardziej lubiłem świeże mleko w domu Baranówny Broni, która po wydojeniu krów podawała mi je chętnie w kubku i patrzyła z zadowoleniem w moje oczy, czy mi smakuje. *Dzięki ci p. Broniu, smakowało mi bardzo. Wydawało mi się, że goi ono moje płuca, zalane wodą w czasie śledztwa.* Gdy doszedłem do zdrowia, Odrzywolski Wojciech, u którego mieszkałem i Piotr W. wozili mnie po wszystkich wsiach, w których jeszcze nie byłem. Opowiadali komendantom placówek kto ja jestem, upiększali, wywyższali, jaki to wielki człowiek i bohater ze mnie. Nie bardzo to lubiłem i chciałem, aby mnie do tego nie przymuszano. Toteż gdy już nadchodziła wiosna, a śnieg jeszcze nie spłynął, wycofałem się pod Biłgoraj do Nadrzecza, do swojej placówki na stałe. Brat pozostał.*

Rolnicy przygotowywali się do wiosny. W lesie zimowe prace były wykończone i nikt nie chodził po lesie, bo był jeszcze śnieg. Każdy czekał na przyjscie wiosny. Nawet władza hitlerowska troszkę niby złagodniała przygotowując się do nowych, zbrodniczych wyczynów. Po zamordowaniu moich dwóch braci i ojca wraz 27 współwięźniami w Zamościu 21.01.1944 r. oraz nie odnalezieniu mnie w terenie (pomimo wysokiej nagrody) gestapowcy w Biłgoraju niby się przełękli. Umacniali

betonowy wał wokół siedziby gestapo, czując że z nadejściem wiosny partyzanci uderzą na nich w mieście. Wydawali nowe zarządzenia, groźniejsze od ubiegłorocznych. Za jednego z nich, zabitego w mieście będą mordować ludność miejską i okolicznych wsi. Obstawili się całą zgrają konfidentów, zdrajców narodowych, którzy zapuszczali się nawet w głąb lasu, aby dostarczyć wiadomości o ruchach partyzantów w terenie. Tych zdrajców nawet gestapowcy nazywali zdrajcami bez honoru. W takim to przedwiośniu Komendant Rejonu Biłgoraj Józef Stegłiński „Cord” (czytaj Kord), w porozumieniu z nami, dowódcami plutonów, a było nas 9 (dziewięć plutonów), postanawia założyć własny oddział partyzancki z ludzi tutejszego rejonu ukrywających się lub walczących w innych oddziałach partyzanckich. Łącznicy i gońcy mają pełno roboty. Biegają po terenie, aby wszystkich tzw. „spalonych” ściągać w jeden punkt zborny w lesie między Rapami Bojarskimi a szosą Biłgoraj – Zwierzyniec, około 3 km od stacji kolei wąskotorowej w miejscu postoju podchorążówki z wiosny 1943 r. W tym to miejscu w 1939 r., późną jesienią została zmagazynowana broń przywieziona z lasów janowskich przez ppor. Józefa Witka „Grota”, mnie i innych, którzy już nie żyją. Bardzo dobrze przechowała się w pagórkowatym terenie, dobrze zakonserwowana smarami broń. Na CKM-mie polskim typu Browning nie ma śladu rdzy. Taśmy i amunicja również dobre. Drugi CKM z przed pierwszej wojny światowej również dobry. Kbk tak samo dobre, jak gdyby były na powierzchni przy ciągłej pielęgnacji. Trochę pociemniał ręczny karabin maszynowy przedwojennej produkcji. Niezawodna, niewielka broń maszynowa, działała w smarze i w piasku. W późniejszym czasie, gdy zgłaszało się coraz więcej żołnierzy do naszego oddziału, zmuszony byłem jako podoficer służbowy oddziału „Corda” do rozbrojenia własnego plutonu. Dostarczyłem dwa rkm-y, 14 kbk i kilka tysięcy sztuk amunicji w dobrym stanie. Później otrzymaliśmy broń niemiecką i angielską ze zrzutu i wiele amunicji, która nadawała się do naszej broni. Na miejscu koncentracji staliśmy kilka dni czekając na dalszych kolegów. Jednak nie wszyscy oczekiwani przybyli. Wielu nie mogło trafić nie wierząc, że tak w pobliżu wroga zakładamy obóz partyzancki. W dzień były ćwiczenia obronne, a w nocy ćwiczenia wartownicze. Odpoczywaliśmy

w nocy na pulchnym wrzosie, którego było pod dostatkiem. Pogoda nam sprzyjała. Nie było opadów ani wiatrów. Było jeszcze dużo śniegu, co ułatwiało nam wyczucie, czy wokół nas nie kręci się ktoś niepożądany, ponieważ zostawiłby ślady na śniegu i na gruncie pośniegowym. Po kilku dniach, nocą przeszliśmy na Wolaniny. Po drodze spaliliśmy na Wolaninach u takiego mieszkańca, który źle wyrażał się o partyzantach. Niech się napatrzy, czy to wojsko, czy jakaś banda. Od tej pory zmienił poglądy. Wczesnym rankiem odeszliśmy na stałe miejsce postoju. Był to las prawie dziewiczy, na wzgórku między bagnami. Do tego wzgórka był tylko jeden wjazd, do niewielkiej łąki leśnej w kształcie koła o powierzchni mniej więcej 4 ha. Na tej łączce było źródło, w którym to źródle czerpaliśmy wodę dla kuchni i innych potrzeb. Las sosnowy na wzgórku liczył około 30 lat. Dawał dobrą osłonę przed samolotami i dostarczał opału do kuchni, ponieważ było dużo tzw. suszek. Pośrodku tego wzgórka postawiliśmy szałas dla dowódcy oddziału i jego zastępcy. W odległości 10 m od niego ustawiliśmy kołem szałas dla żołnierzy (partyzantów), wylotem do szałasu komendy. Od strony zachodniej, na nizinie przy świerkach w podroście ustawiliśmy kuchnię w odległości około 50 m od komendy, a w pośrodku tej odległości był szałas z desek służący za magazyn żywnościowy. Na południe od komendy w odległości 50 m były stajnie urządzone z desek i magazyn na paszę dla koni, a przy nich wozy i uprząż. Wszystko było dobrze zamaskowane. Z południowej strony od komendy ustawione były stoły do jedzenia i stojaki na broń. Po ulokowaniu wszystkiego na terenie wzgórka pierwszy rozkaz komendanta „Corda” brzmiał: *Na placu zbiórka!* Staliśmy w szeregu na baczność. Przyjęliśmy nazwę, obóz ćwiczebny „Zarzewie”. Odtąd „Zarzewie” prowadziło ciągłe ćwiczenia. Instruktorów nie brakowało. Około 10 czerwca 1944 r. komendant Józef Stegliński „Cord” zarządza mobilizację swojego Rejonu Biłgoraj, czyli dziewięciu plutonów do walki z okupantem, który według wyczucia wywiadu AK rzuca na zniszczenie nas, partyzantów 45 tysięcy żołnierzy różnych formacji tj. lotnictwo, czołgi, artylerię. Wszystkie formacje dobrze wyszkolone, dobrze uzbrojone, zaprawione do walki na froncie wschodnim. A my, w porównaniu z nimi jak rekruci, zwłaszcza ci, którzy dopiero co przyszli, mając dobrego ducha

do walki z kolosem. Oddział nasz (placówka) „Zarzewie” pod dowództwem por. „Corda” od połowy kwietnia 1944 r. był naprawdę ćwiczebny. Mieliśmy szereg instruktorów jak: st. sierżant Roslan Eugeniusz „Sokół”, podchorąży „Pazur”, podchorąży „Śniardwy”, por. „Mały”, por. „Huk”, kapral Zygmunt Książek „Kniaź”, kapral Kazimierz Pacyk „Grom”. Obaj z „Kniaziem” pełniliśmy służbę w oddziale „Corda” jako podoficerowie służbowi. Szefem oddziału (aprowizacji) był plut. Walerian Szarzyński „Waler”. Kucharzem oddziału został Jan Surma „Chochla”, a jego zastępcą i pomocą Zuzman Edward „Szczur”. W czasie postojów oddziału wyszkoliliśmy dwa turnusy chłopców przedpoborowych. Z drugiego wielu z Biłgoraja zostało w lesie. Odbył się jeden kurs szkoły podoficerskiej, który trwał 6 tygodni. Drużynowym w szkole podoficerskiej był kapral Kazimierz Pacyk „Grom”. Na szkole było około 15 chłopców. Większość z nich zdała w 1 i 2 lokacie, czyli na kaprala, reszta to starsi strzelcy. Zaopatrzenie w żywność otrzymywaliśmy z PSS z Biłgoraja. Częściowo chleb pieczony był we wsi Brodziaki i Wolaniny. Mięso i tłuszcz zarekwirowaliśmy dwa razy w państwowym Gospodarstwie Rolnym Różnówka w Biłgoraju. Pierwszy raz w nocy był nasz oddział sam pod dowództwem „Corda”. Drugim razem nasz oddział połączył się z oddziałem „Wira”, ponieważ wywiad z Biłgoraja podał, że są wzmocnione posterunki i patrole niemieckie. Jednak do starć nie doszło. Drugim razem zabraliśmy 12 sztuk świń po około 100 kg i kilka sztuk bydła. Zdobyczą podzieliliśmy się z oddziałem „Wira”. Oddział „Wira” słodził zupę cukrem zdobytym na kolei w czasie transportu na wschód. Na obydwie akcje w Różnówce wywiad prowadził główny wywiadowca w Biłgoraju Michał Kochmański „Gryf”, który opracował szkic i czas akcji w ciemną, chmurną noc, zaś dowódcą akcji był por. Józef Stegliński „Cord”. Był ppor. „Grot”, a nie „Cord”. Kto kierował akcją wewnątrz folwarku nie wiem, ponieważ kierowałem osłoną od strony młyna Różnówka. Młyn był po drugiej stronie rzeki, czyli w mieście. Zaś folwark Różnówka był po przeciwnej stronie rzeki. Na rzece, przy młynie był most na tzw. śluzie młyna wodnego. Na moście stał patrol niemiecki. We młynie mieściła się wartownia niemiecka połączona kablem z głównymi siłami niemieckimi w Biłgoraju. Od tej czujki, czy patrolu stałem około 100 m ze swoimi

chłopcami. Zadaniem moim było obserwować ruch Niemców na moście i we młynie. Widziałem ich bardzo dobrze, ponieważ z okien wartowni padał blask na most przy młynie. Natomiast nas, stojących tak blisko, Niemcy widocznie nie widzieli i nie odróżnili ruchów na folwarku, ponieważ zachowywali się normalnie. Po akcji zostałem odwołany i dalej postępowałem za całością naszego zgrupowania na odległość wzrokową w kierunku wsi Soli. Sól z Biłgorajem połączona była ruchliwą szosą, połączoną z Krzeszowem. Wzdłuż szosy płynęła rzeka Biała Łada, ta która rozdzielała folwark od miasta Biłgoraj. Na szosie cisza. Szczęśliwie przejechaliśmy przez most na rzece, przez szosę w kierunku wsi Dereźnia. Przez wieś posuwamy się w szyku bojowym. Mamy przed sobą szosę Biłgoraj – Tarnogród. Ja ze swoimi chłopcami ciągle postępuję na odległość wzrokową za całością jako osłona tylna. Przejechaliśmy wieś Dereźnię, przejechaliśmy szosę Biłgoraj – Tarnogród. Wgłębiając się w lasy Puszczy Solskiej jak do wolnego kraju, nieokupowanego. Tu nie spodziewamy się wroga. Doszedłem do całości dziękując Bogu, że nie było pościgu. Widocznie nikt natychmiast nie alarmował. Szczęśliwie dojechaliśmy do placówki, chociaż było bardzo ciemno i pochmurnie. Szczęśliwie zmagazynowaliśmy zdobycz. Przyszedł czerwiec 1944 r. Wywiad podaje, że nad partyzantami w lasach janowskich i Puszczy Solskiej zawisły czarne chmury. Ofensywa radziecka na wschodzie stanęła. Niemcy jeszcze wcześniej opracowali plan zniszczenia partyzantów na Lubelszczyźnie. Dla naszego oddziału przydzielone zostało radio nadawczo – odbiorcze, po które pojechałem z „Cordem” w pierwszych dniach czerwca do oddziału „Lancy”. Była piękna, słoneczna i bezchmurna pogoda, na ziemi sucho, za naszymi furmankami tuman kurzu. Wyjechaliśmy mniej więcej o pierwszej w nocy tak, aby szosę Biłgoraj – Zwierzyniec i Biłgoraj - Frampol przejechać za nocy. Do oddziału „Lancy” przyjechaliśmy około 11 godziny. Oddział ten stał za wsią Bukową w głębi jodłowego lasu. Żołnierze por. „Lancy” załadowali nam wszystko w słomę, nakarmili konie i podali obiad. Po kilku godzinach postoju odjechaliśmy w kierunku naszej placówki. Przysiadł się do nas komendant obwodu (powiatu) Gniewkowski „Orsza”. Przejeżdżamy przez wieś Bukowa. We wsi chodzą patrole AK z bronią

w ręku. Za stodołami na polu widzimy beczki na zboże, a może ze zbożem i wiele innych narzędzi rolniczych oraz żywność, ponieważ mieszkańcy tej wsi spodziewali się ataku lotnictwa niemieckiego, bo wiele wsi w lasach zostało spalonych przez wroga. Do patroli dołączały miejscowe panienki, uśmiechnięte, zdrowe i zadowolone ze swoich chłopców. Kraj nieokupowany, inne życie jak pod Biłgorajem, gdzie ludzie nisko kłaniali się okupantowi i wierzyli w ich zwycięstwo, chociaż między tymi ludźmi byli i tacy, którzy wierzyli w klęskę okupanta i zwalczali go potajemnie wystrzegając się zdrajców. Ze wsi Bukowa przyjechaliśmy na wieś Andrzejówka i tu widzimy to samo. Komendant miejscowej placówki Malec zaprasza nas na podwieczorek. Zbliżała się noc. Stąd wyjeżdżamy zmrokiem do wsi Korytków Duży przy szosie Biłgoraj – Frampol. W Korytkowie Dużym otrzymujemy ubezpieczenie, aby szczęśliwie przejechać szosę do wsi Nadrzecze. W Nadrzeczcu pijemy świeże mleko i tak przyjechaliśmy szczęśliwie na swoją placówkę „Zarzewie” zwaną obozem ćwiczebnym „Zarzewie”. Pierwszy pluton to Zynie, Zanie – dowódca, kapral Pułapa „Lemiesz”; drugi pluton: Majdan Stary, Majdan Nowy, Rogale – dowódca, kapral Sarzyński Jan; trzeci pluton: Smólsko Duże, Smólsko Małe – dowódca, kapral Micyk Jan „Liść”; czwarty pluton: Brodziaki, Wolaniny, Edwardów, Ratwica – dowódca, Róg Wawrzyniec „Lis”; piąty pluton: Wola Duża, Wola Mała – dowódca, kapral Siembida Franciszek „Ostry”; szósty pluton: Rapy Dylańskie, Rapy Bojarskie, Dyle, Kajetanówka, Ignatówka, Hedwiżyn – dowódca, leśniczy, plutonowy Borowy Stanisław „Były”; siódmy pluton: Gromada, przedmieście Biłgoraja Bojary, Majdan Gromadzki, Nadrzecze – dowódca, plutonowy Pacyk Kazimierz „Grom”; ósmy pluton: Biłgoraj północny, Zacisze – Zagumnie, Dąbrowica – dowódca, por. Szalak Zygmunt (późniejszy komendant Rejonu Biłgoraj); dziewiąty pluton: Biłgoraj południowy, dawna Puszcza Solska, Dereźnia, Korczów, Okrągłe, Podlasie – dowódca, ppor. Lęgowicz Roman. Na placówkę obozu ćwiczebnego „Zarzewie” zgłosiło się 6 plutonów. Każdy pluton liczył około 30 ludzi + wozak i furmanka, (o połowę mniej ludzi w plutonie jak przed wojną), razem było mniej więcej 180 ludzi (żołnierzy). Na placówce „Zarzewie” znajdowało się mniej więcej około 50 żołnierzy partyzantów

z wszystkich plutonów po kilku, a najwięcej z dwóch plutonów z Biłgoraja. Mój pluton 7 –my, zebrał się przy leśniczówce w Nadrzeczu, (według uzgodnienia z komendantem „Cordem”) pluton ten miał oczekiwać na miejscu zbiórki, aż do przyścia całego macierzystego oddziału partyzanckiego pod dowództwem „Corda” w nocy 18 -19 czerwca 1944 roku. Jednak do tego nie doszło. Broń 7-go plutonu była ściągnięta do oddziału „Corda”. Wszyscy żołnierze tego plutonu byli bezbronni i z tego powodu taka grupa ludzi nie mogła poruszać się bezpiecznie przez odległość około 12 km, aby się połączyć z macierzystym oddziałem „Corda”. W niedzielę 18 czerwca 1944 r. na wszystkie wozy załadowaliśmy ciężką broń maszynową, amunicję, żywność i kuchnię. W nocy mamy wyjechać w lasy janowskie przez Nadrzecze, tam gdzie już przeszła pacyfikacja. Po południu tegoż dnia przyjechał na koniu na naszą placówkę komendant Inspektoratu Zamość, Edward Markiewicz „Kalina” z Hanasem Zygmuntem „Wilczurem” z Bondyrza, z narady wyższych dowódców AK i BCh. Tej niedzieli pełniłem funkcję podoficera służbowego. „Cord” rozkazał mi zorganizować zbiórkę całego batalionu plutonami na placu zbiórek. W dwuszeregu stanęli wszyscy partyzanci czekając na „Corda” i komendanta zgrupowania Inspektoratu Zamość, Edwarda Markiewicza „Kalinę”. Po nadejściu komendantów, szef naszego oddziału Szarzyński Walerian „Waler” poderwał całość na baczność i zameldował stan zebranych na placu i w służbie wartowniczej, razem około 210 ludzi. Potem padła komenda spoczniej i nastąpiła przemowa majora „Kalinę”. „Kalina” na wstępie opowiedział skąd przyjechał, jaka jest obecna sytuacja i co na zebraniu w Bondyrzu za Zwierzyńcem ustalono. Otóż wywiad nasz doniósł, że jeżeli partyzanci wyjdą z lasu, pozostawią wszystkie znaki pobytu partyzantów w lesie. Niemieccy żołdacy mają rozkaz wypalić wszystkie wsie w lesie i ponad lasami, a ludność wymordować, ponieważ to oni niszczą gospodarkę niemiecka i prowadzą wypadki na Niemców na szosach i drogach, więc dla dobra i życia mieszkańców wsi w lasach i ponad lasem musimy przyjąć walkę z Niemcami. Kto nie czuje się na siłach do walki z wrogiem o życie naszych mieszkańców w lesie niech wystąpi. Nie będzie to karane. Niech idzie do domu jeżeli tam czuje się bezpiecznie. Po pierwszej

zapowiedzi nikt nie wystąpił, po drugiej również nie. Po trzeciej wystąpiło dwóch chłopców z 3 plutonu Smólsko Duże. Reszta żołnierzy partyzantów odpowiedziała chórem: *Chcemy walczyć!* Po tych słowach komendanci odeszli na naradę, ja zaś, podoficer służbowy dałem rozkaz: *Batalion rozejść się!* W tym dniu zmieniałem wartę na wartowni, a ci dwaj chłopcy idą przez wartownię do domu (wartownicy byli podwojeni). Zwrócili się do mnie: „*Grom*” *nie strzelaj, my nie jesteśmy przygotowani do walki.* Ja ich upewniam: *Idźcie w spokoju, nic wam złego się nie stanie.* Poszli przez wartownię drżąc, że będziemy do nich strzelać. Za wartownią oglądali się ciągle nie wierząc. Gdy wyszli na pola Smólska byli pewni, że są w domu bezpieczni. Na budynkach gospodarczych Smólska były umieszczone lkm (lekkie karabiny maszynowe). Chłopcy byli pewni, że w ich wsi nie ma Niemców. Zbliżyli się szybkim krokiem do wsi, do swoich w domu. Naraz serie karabinowe i padają ugodzeni śmiertelnie. Hitlerowcy nasycili się śmiercią niewinnych chłopców. Poniedziałek 19 czerwca 1944 r., dobrze rano, o wschodzie czerwcowego słońca nastąpiła zbiórka batalionu plutonami na placu zbiórek. Wychodzi por. „Cord”, reorganizuje oddział (batalion). Do każdego plutonu przydziela jeden niemiecki lekki karabin maszynowy wraz całą obsługą. Wyznacza nowych dowódców plutonu, poprzedni zostają zastępcami. I tak: pierwszy pluton Zanie – Zynie dowódca kapral Jan Pułapa „Lemiesz” pozostaje nadal dowódcą; drugi pluton lkm - dowódca Wryszcz z Majdanu; dowódca kapral Sarzyński Jan pozostaje nadal; trzeci pluton dotychczasowy dowódca Micyk Jan zostaje zastępcą, na jego miejsce przydziela st. sierżanta Rosłana Eugeniusza „Sokoła”, celowniczym lkm w trzecim plutonie był Baczewski Jan „Głaz”; do czwartego plutonu na dowódcę przydziela podchorążego Tadeusza Piotrowskiego „Pazura”, Róg Wawrzyniec dowódca plutonu czwartego zostaje powołany na szefa taboru, do czwartego plutonu przydziela lkm z obsługą, - dowódca Książek Zygmunt „Kniaź”. Jednocześnie plutonowy „Kniaź” zostaje zastępcą dowódcy plutonu „Pazura”. Do plutonu piątego na dowódcę powołuje swego zastępcę ppor. Józefa Witka „Grotą”. Zastępcą zostaje dotychczasowy dowódca kapral Siembida Franciszek „Ostry”. Do tego plutonu przydziela lkm niemiecki pod dowództwo plutonowego

Pacyka Kazimierza „Groma” i celowniczego Pałkę Zygmunta „Żółtego” (obecne nazwisko Buszkowski Zygmunt) oraz trzech amunicyjnych. W szóstym plutonie plutonowy Borowy Stanisław „Były” pozostaje nadal dowódcą. Pluton siódmy plutonowego Pacyka Kazimierza „Groma” oczekuje nadal w Nadrzeczcu na połączenie. Po przyjęciu walk przez oddział „Corda” i odcięciu go od całości, zastępca „Groma” gajowy Jachosz Adam i gajowy Kowalczyk Franciszek, postanawiają rozpuścić żołnierzy tego plutonu do domu, ponieważ dowódca plutonu „Grom” pozostał w oddziale macierzystym. Pluton ósmy był niepełny, brakowało jednej drużyny gm. Biłgoraj z Zacisza- Zagumnia i pół drużyny z Dąbrowicy. Dołączyć mieli na gajówce Zagumnie. Pluton ósmy składający się ze starych żołnierzy partyzantów z oddziału „Corda” obsługiwał działko przeciwpancerne Piat (angielski, zrzutowy). Celowniczym był Wincenty Pacyk „Żwawy”. W późniejszych dniach na rzece Sopot unieruchomił czołg i reszta czołgów wycofała się. Działkiem dowodził komendant „Cord”. Obsługa działka liczyła 12 ludzi. Dziewiąty pluton ciężkich karabinów maszynowych, dowódca podch. Marceli Drzewski „Śniardwy”. Celowniczym przy polskim ckm-ie typu Browning był Pudło Wojciech „Przechodni”. Amunicyjni to Józef Pudło „Sosna” i Jan Pudło „Rakietą”. Ochrona składała się ze starszych partyzantów. Przy drugim ckm obsługa była zmienna ze starszych partyzantów zaprawionych w bojach. Po reorganizacji batalionu na poszczególne plutony „Cord” skierował , 4 pluton „Pazura” pod wieś Brodziaki. Natomiast jedną drużynę z plutonu 5, pod moim dowództwem, czyli „Groma” skierował pod Wolaniny na brzeg łąki, przez którą płynęła mała rzeka zwana Ratwicą. Przez tę łąkę przechodziła wgłębiona droga, stwarzając tzw. bród zalany wodą, gdzie dno było piaszczyste i twarde. Nad tą łąką po obu stronach drogi umieściłem drużynę wyposażoną w dwa niemieckie lekkie karabiny maszynowe. Przy jednym celowniczym był Buszkowski Zenon (Zygmunt) „Żółty”, przy drugim Grabias z Majdanu. Po drugiej stronie łąki, nad drogą ukazali się w zaroślach Niemcy, około drużyny. Na czele nich stanął plecami do nas niemiecki dowódca, pokazując swoim żołnierzom gdzie, który ma zająć stanowisko. Zrozumiałem to i rozkazałem walić elkaemistom zanim się rozejdą. Niemcy padli, ale czy byli zabici nie wiem. Na Wolaninach,

Ratwicy i Brodziakach wędrowały czerwone rakiety. Po stronie niemieckiej przewodnikiem był Skiba, mieszkaniec Woli pod Biłgorajem. Opowiadał mi, jak po tym ostrzelaniu Niemcy ukryli się w zaroślach nie dając znaku o sobie. W tym zamieszaniu zniknął tłumacz przy majorze niemieckim. Gdy się uspokoiło, wyszli, ale jego nie było. Czy byli zabici i ranni nie wiedział. Natomiast my, drużyna z plutonu piątego wycofaliśmy się za drugi strumyk. Tu wymieniła nas druga drużyna z 5 plutonu pod dowództwem kaprała Siembidy Franciszka. Po pewnym czasie oni przyjęli walkę. Podbiegliśmy z całym piątym plutonem z jego dowódcą Józefem Witkiem w samą porę, bo drużyna ta nie miała broni maszynowej. Niemcy wyczuli to i nie nacierali od czoła. Dwoma skrzydłami okrążali naszą drugą drużynę nie dając im wyjścia z ukrycia. Dwoma pozostałymi drużynami zaatakowaliśmy oba skrzydła wroga. Niemcy ukryli się w trawie na łące nad strumykiem nie dając znaku, gdzie są. My zaś seriami po tej łące. Niemcy uciekli, a druga drużyna wycofała się i dołączyła do pierwszej i trzeciej drużyny. Było już południe. Jakiś czas poczekaaliśmy, czy nie ukarzą się na łące, ale już ich nie było. Przyszedł goniec od komendanta „Corda”: *Wycofać się do miejsca postoju*. Wysłany był także goniec do czwartego plutonu, aby się wycofał. Goniec wrócił meldując, że Niemcy są już dalej w głębi lasu i pluton jest odcięty. Cały oddział z taborami wyrusza z miejsca postoju w kierunku Margoli. Po drodze, z lewej strony od strony Tereszpola spotykamy Niemców. Jesteśmy na skraju dwudziestoletniego młodnika. Niemcy wychodzą na około osiemdziesięcioletni, pełny las, na suchy teren. Tu Bogdan Wolanin „Wiewiórka” odrywa się od całości, podbiega do Niemców ukryty za pagórkem od ich strony, podbiega pod szczyt górkę i zza górkę siecze Niemców na pełnym lesie z lkm-u. Niemcy pośpiesznie wycofują się w nieładzie do drągowiny i tam padają, po drodze zostawiając swoich. Widziałem to na własne oczy. Oddział nasz porusza się naprzód nie ostrzeliwany przez wroga.

Jesteśmy w pobliżu wsi Margole. Wysyłamy zwiad: Pacyka Wincentego „Żwawego” i Czesława Ludwika „Opala”, aby wyczuli jak jest w tej wsi. Niebawem wrócili meldując, że Niemców nie ma. Jest oddział partyzancki AL, więc idziemy śmiało, mijamy wieś po końcu. Wychodzimy na szeroką drogę pomiędzy polami Margoli, a polami

Aleksandrowa. W Aleksandrowie są już Niemcy. Drogę przecina głęboki rów, na którym jest most. Spod tego mostu trzy pistolety maszynowe biją górą w naszym kierunku. Wozak siedzący wysoko na skrzynkach na przedniej furmance zostaje ranny w rękę. Szperacze przedni składają się do strzelania. Witek „Grot” krzyczy: *Nie strzelać, to swoi, wycofać się dla rozpoznania*. Wycofaliśmy się i poszliśmy z taborami przez wieś do następnego lasu w kierunku zgrupowania wszystkich oddziałów partyzanckich AK. Przez całą ciemną noc szliśmy do zgrupowania. O świcie jesteśmy na miejscu. Z lewej strony oddział „Woyny” walczy z Niemcami, mają rannych. Tu dołączamy do drużyny „Corda”, który nas wyprowadził inną drogą. Stąd wyruszamy w kolumnie w stronę szosy Aleksandrów – Józefów. Oddział „Corda” idzie z czoła ubezpieczając całość. Dochodzimy do szosy. Od strony Józefowa i od strony Aleksandrowa ustawiamy lkm tak, aby Niemcy z Józefowa i Aleksandrowa nie najechali na nasze oddziały partyzanckie przeprowadzające się przez szosę. Za szosą oddział „Corda” ubezpiecza teraz od tyłu. Po drodze spotykamy oddziały partyzantki radzieckiej, stojącej w około dwudziestoletnim młodniku. Wyszli na pobocze drogi przyglądając się uważnie. Był to wtorek 20 czerwca. W nocy dochodzimy w pobliże gajówki, czy leśniczówki. Nocą mało kto śpi, więcej drzemia po nieprzespanej poprzedniej nocy. Nadszedł dzień, jesteśmy na miejscu, słyszymy walki ze wszystkich stron, w nocy i w dzień. Na noc wyruszamy dalej (21 – 22) ze środy na czwartek. Za nami posuwają się oddziały radzieckie. W dzień trudno było się poruszać, ponieważ lotnictwo wroga penetrowało lasy rzucając bomby i ostrzeliwując nas z broni maszynowej. Żywimy się sucharami, brakuje wody. Lada kałuża, czy bagno służy nam wodą, a czas był bardzo deszczowy przed rozpoczęciem i w czasie walk. Nocą chłopcy upadają bez snu. Budzą nas rakiety wroga i grzechot karabinów maszynowych. Niebo pokryte jest grubymi chmurami i przez to noc są bardzo ciemne. Jesteśmy ciągle związani walką z Niemcami. 22.06., w czwartek jesteśmy przed rzeką Sopot. Tu w młodniku o świcie założyliśmy kuchnię przypuszczając, że zanim nas znajdą trochę zjemy. Od schwytanych Niemców dowiadujemy się, że Niemcy atakują nas trzema liniami. Pierwsza linia idzie z szczekającymi psami i z krzykiem żołnierzy.

Odstęp w linii 5 m i pięciu idzie gęsiego, z przodu lkm, z tyłu mp i amunicyjni. Każdego dnia zmieniają wygląd mundurów jak: zakasywanie rękawów, lewy albo prawy, wyżej lub niżej, rozpięty albo zapięty mundur. Druga linia posuwa się bardzo cicho za pierwszą po lkm, aby wylapać tych, którzy z różnych powodów zostali na tyłach pierwszej linii. Trzecia linia stała nieruchomo w bunkrach lub płytkich okopach do czasu, aż pierwsza linia okopie się. Podczas gotowania zupy pod spadochronem w oddziale „Corda” pełniłem służbę podoficera służbowego. Jesteśmy w pobliżu linii niemieckich. Na lewo od nas zwróceniu frontem do linii niemieckich znajdują się oddziały radzieckie. Partyzanci wszystkich oddziałów śpią po bezsennych, ubiegłych nocach, ponieważ tej nocy panował spokój. Czuwają drużyny służbowe poszczególnych oddziałów. Oddział „Corda” znajdował się na prawym skrzydle ostatni. Z nastaniem brzasku bez przerwy obserwuję przez lornetkę teren dzielący nas od linii wroga i na prawo po rzekę. I oto widzę przez lornetkę, że jakaś grupa ludzi wychodzi od rzeki i zbliża się w naszym kierunku. Początkowo przypuszczałem, że to Niemcy. Od czoła szli w mundurach niemieckich z białą czerwonymi opaskami, dalej w tyle mundury polskie, rogatywki no i dużo cywili. W miarę zbliżania się oddziału rozpoznałem, że to oddział partyzancki różnych narodowości lub coś podobnego. Wśród nich są młode kobiety. Przeszli obok nas i poszli w kierunku radzieckich oddziałów partyzanckich. Nie upłynęło pół godziny, przychodzi do mnie 5 partyzantów w mundurach polskich, rogatywki, polówki polskie z orzełkami, na orle krzyżyki jak przed wojną. W odległości kilku metrów przedstawiają się kto oni są: *Jesteśmy z oddziału polskiego „Muchy”*. Nie znałem tego oddziału. Byli bez broni, więc nie obawiałem się niczego mając przy boku kilku swoich. Gdy przechodzili obok nas, zauważyli gotującą się zupę. Byli głodni i poprosili, aby im dać zupy. Podałem w pięciu menażkach, zjedli, ciągle mnie tytułując Panie Komendancie. Gdy nasycili się, opowiedzieli mi, że są Polakami z okolic Brześcia nad Bugiem. Oddział pod dowództwem „Muchy” podlega rozkazom dowódców radzieckich i proszą, żeby im dać kocioł zupy dla kolegów, bo są bardzo głodni. Odmówiłem: *Nie mogę dać bez zezwolenia komendanta, ja nie jestem komendantem, komendant śpi.*

Nie wierzą, nalegają więc poszedłem do komendanta „Corda”. Obudziłem komendanta, opowiedziałem jakich mamy gości. Nie znał tego oddziału jednak pozwolił wydać jeden kocioł. Wróciłem: *Bierzcie jeden kocioł*. Oni proszą o drugi: *Bo nas jest dużo*. „Cord” przyszedł, przedstawiam im: *Oto pan Komendant „Cord”*. Proszą „Corda”, błagają i „Cord” wydał drugi kocioł. Biorą i proszą o menażki i łyżki bo jak będą jeść. „Cord” zezwala mówiąc: *Pomimo, że gwarantujecie, że kotły, menażki – 12 i łyżki – 12 zwrócicie, nie wierzę, ale czekam na zwrot jedną godzinę*. Zaręczają, że zwrócą. W naszych oddziałach pobudka, w pośpiechu przychodzą na zupeł. „Cord” rozkazuje mi iść do oddziału „Woyny”: *Niech przychodzą po zupeł*. W oddziale „Woyny” spotykam „Kalinę”, „Huka”, „Małego” i innych oraz lekarzy „Radwana” i „Koraba”. Dzwoni telefon do mjr „Kaliny”: *Kto dzwoni?* Odpowiedź: *Ppłk Nikołaj Prokopiuk*. Major „Kalina” odpowiada: *Nie ma „Kaliny” jest na terenie, jak wróci zgłosi się*. Prokopiuk chce się złączyć z oddziałami polskimi. Padła odpowiedź: *Dobrze*. Ja widząc, że „Kalina” nie chce się złączyć zwracam się do niego (znałem się z nim dużo wcześniej): *Panie komendancie złączmy się z nimi*, co wywołało na ustach oficerów niewielki uśmiech. „Kalina” do mnie mówi: *Jest pan młody, dobry żołnierz ale mało wie pan o takich scalaniach podczas walk*. Tu opowiedział mi „Kalina” o scalaniach podczas walk w podobnych sytuacjach, o współpracy, co mnie przekonało i odszedłem. Gdy wróciłem do „Corda” nie widzę kotłów ani menażek wydanych partyzantom „Muchy”. Niedowierzająco pytam komendanta: *Czy zwrócili kotły?* „Cord” odpowiedział: *Już dwie godziny upłynęło, nie ma i nie będzie, tak można im wierzyć. Chcą się z nami połączyć żeby nas zniszczyć. Nie miałem słowa, moja wina, nalegałem. Mnie się zdaje, że gdyby nie nalot, to kotły by wróciły*. Wtem słychać warkot motoru nad nami, to samolot bocian (tak go nazywali partyzanci), poobserwuje, wróci na lotnisko w Zamościu i zaraz nadleci bombowce. Padł rozkaz wymarszu za rzekę Sopot. Wszystkie oddziały oddzielnie wyszły na drogę w kierunku (brodu) mostku na rzece. Na wzgórku po prawej stronie siedzą fotografisci, trzaskają zdjęcia, wśród żołnierzy panuje dobry nastrój. Za rzeką Sopot około 300 – 400 m w zagajniku, w drągowinie, zatrzymują się wszystkie oddziały AK i BCh, aby

przygotować obiad, którego już dawno się nie jadło. Jeszcze obiad nie gotowy, alarm. Od rzeki słyszymy strzały, poszczególne oddziały rozwijają się w tyralierę, pośpiesznie idziemy w kierunku rzeki. Oddział „Corda” zajmuje prawe skrzydło, zaś Piat z obsługą został skierowany na mostek na rzece. Na boku drogi zajmują w ukryciu stanowisko. Na mostek wjeżdża czołg niemiecki, za nim drugi. Celowniczy Pacyk Wincenty „Żwawy” bierze go w lornetkę z podziałką umieszczoną u prawego boku lufy, krótka seria, czołg znieruchomiał, drugi zawrócił. Jest to relacja „Żwawego” i Czesława Ludwika „Jastrzębia”. Natomiast nasze oddziały strzeleckie doszły na wysoki brzeg Sopotu. Wywiązała się gwałtowna strzelanina. Po drugiej stronie rzeki widać las bez podrostu około siedemdziesięcioletni, widzę jak Niemcy wycofują się w nieładzie gęsto padając. Wycofali się w młody podrost. Z prawej strony około 600 m od naszego prawego skrzydła, wychodzą od rzeki dwa czołgi. „Cord” jest obok mnie, zwraca się do mnie: *Czołgi zachodzą nasze tyły, niech pan ich zatrzyma*. Podrywam leżącego obok mnie „Żółtego” i kilku innych z granatami, biegniemy w kierunku czołgów. W odległości 500 m krzyknąłem: *Padnij, czołgaj się*. I o dziwo czołgi zawróciły do rzeki i zniknęły w zaroślach. Po naszych liniach biegnie rozkaz: *Przerwij ogień*. Spojrzałem na rzekę, na miejscu linii niemieckich widzę zielone berety i zielone mundury. To oddział sztabowy „Woyny” w pogoni za wrogiem, lecz pada rozkaz wycofania się, bo artyleria wroga zaczyna strzelać, początkowo z rzadka, potem gęściej. Partyzanci w angielskich mundurach zdążyli się wycofać. Nie strzelamy, bo nie ma do kogo. Wsłuchuję się w jargot granatów artyleryjskich, słyszę, że pocisk jargocząc leci do ziemi, fu i tyle, nie ma rozprysku. Według mego rozeznania dokładnie co czwarty pocisk nie eksploduje, na nasze linie nie padają. Pada rozkaz wycofać się znad rzeki. Wracamy do obozu, nad nami ukazuje się samolot wywiadowczy. Strzela do ziemi, do kogo nie wiem, ale obiadu nie jemy. Nasz oddział „Corda” wychodzi na czoło kolumny. Jest już daleko po południu, mijamy las różnego wieku. Zapada zmrok, deszcz jak zwykle, na wierzchu ubrania codziennie mokre od deszczu, bielizna mokra od potu, w butach woda chlapocze albo dziurami tryska. Nawet wszy w bieliźnie mało dokuczają. W żołądkach pustki, ale nikt nie narzeka, nikt nie przewiduje zła,

dyscyplina wojskowa trwa. Chmury ciemne opuściły się nisko i sięgały. Do linii niemieckich doszliśmy późno w nocy, zatrzymaliśmy się w zupełnej ciszy, ponieważ w naszych szeregach przebiega plotka, że w pobliżu wsi Hamernia przyjdą z frontu radzieckie bombowce i zbombardują linie obronne wroga. Radzieckie oddziały partyzanckie uderzą, a my za nimi. Ile w tym było prawdy? Jestem z przodu od czoła kolumny, przy mnie jest ppor. Witek Józef „Grot”. Mówimy sobie: *Może teraz uda się wyrwać z kotła?* Nikt nie śpi. Naraz zagotowało się jak w garnku na linii niemieckiej z lewej strony naszych oddziałów. *To Sowietci - mówimy, przerywają obronę niemiecką.* Pociski karabinowe przez młodnik dolatują do nas, leżymy na ziemi w dołkach, a pociski wciąż lecą. Obok mnie dostała pociskiem klacz. Klacz pada, a wstaje jej źrebnak. Zrozumiał, że źle z matką hyrgocze. Matka też smutna. Taka „rozmowa” źrebnaka z klaczą. W końcu klacz przestaje hyrgotać i wyciąga nogi, a źrebnak w dalszym ciągu coś „mówi” do matki. Ucichła strzelanina, tylko artyleria wali i wali. Do nas przychodzą Sowietci, mówią: *Czoło przeszło w połowie, kolumnę naszą przecięły czołgi, musieliśmy się wycofać. Wasz „Kalina” to zdrajca, nie słuchajcie go, idźcie mniejszymi oddziałami to prędzej się wyrwiecie.* Tej nocy nikt nie spał, partyzanci radzieccy mają lepszą broń i nie przeszli, a my mamy gorszą. Nastaje dzień, jestem w dalszym ciągu na czole kolumny i oto widzę przed sobą na drodze, na której stoimy, duża kopa papierów, obok niej „Kalina” i jeszcze kilku oficerów zapalają. Jakiś oficer nie pamiętam który, przyszedł do mnie i mówi: *Major „Kalina” pali archiwum, wszystkie notatki i listy z całej wojny, aby nie wpadły w ręce wroga. Dopóki Sowietci byli obok nas czuł się bezpieczniej, a teraz wszystkich dowódców oddziałów prosi na naradę. Podaj dalej.* Poszło hasło dalej: *Dowódcy na odprawę.* Po krótkiej naradzie widzę u dowódców poszczególnych oddziałów partyzanckich poruszenie, aż w końcu „Skrzypik” wyskoczył z koła (wszyscy dowódcy stali wokół ogniska) i popędził do swojego oddziału i już go więcej nie widziałem. Po pewnym czasie rozeszli się wszyscy. Wrócił „Cord” do nas, wydał rozkaz: *Wszystkie konie od wozów odpiąć, puścić w las na luzu. Nabrać amunicji ile kto udźwignie, po parę sucharów, aby nie przeszkadzały amunicji. Piat i ciężkie karabiny maszynowe wrzucić w głębokie bagno,*

aby wróg nie znalazł (a takie bagno było blisko, wyglądało jak jezioro). *Przygotować się do odmarszu*. Był to wczesny ranek 24.06.1944 r. Słońca nie było widać, było pochmurnie. Z tego miejsca postoju odeszliśmy w kierunku Suśca, weszliśmy w bardzo gęsto zadrzewiony las olchowy na bagnistym terenie. Z tego miejsca słychać było gwizd kolei wąskotorowej w Suścu. *Tam inny świat* - zatęskniłem. Poniżej Suśca w kierunku lasu, w bunkrach trzyliniowych siedzieli dobrze uzbrojeni Niemcy. Mjr „Kalina” wysłał zwiady, czy w nocy przez Susiec można przerwać pierścienie, jakie jest podejście. Po pewnym czasie wracają mówiąc: *Po wyjściu z lasu olchowego, przed Suścem są rozległe łąki zalane wodą. Za łąkami na polach ornym widać przez lornetki bunkry wroga i ruchy wojsk niemieckich*. To stworzyło niemożliwość podejścia i rozerwania umocnień niemieckich. Wysłane zwiady w kierunku Osuchy i Borowca wróciły po południu oświadczając, że pod wsią Osuchy jest najslabsza obrona niemiecka, jednak nie dowiedzieli się, w którym miejscu patrole ustaliły, że Niemcy wyczuli nasz postój i zbliżają się z dwóch stron. Nasze oddziały okopane na bokach wzgórka czekają na przyjęcie wroga. Zaczyna w nas walić artyleria. Duże baterie ostrzeliwiają nasze pozycje granatami (pociskami) na rozprysk. Jestem w punkcie obserwacyjnym. Z dwóch stron naszych oddziałów jest gęsty las różnego wieku, zaś z jednej strony jest olbrzymi wyrąb (zrąb) świeżo zalesiony. Moim obowiązkiem jest obserwować przez lornetkę, czy Niemcy nie zachodzą nas od tej strony, gdzie mamy się wycofać. Niemcy wychodzą od strony artylerii na nasze pozycje, chłopcy odrzucają ich do tyłu. Nasze oddziały szykują się do odmarszu przez bagnisty bród. Granaty artyleryjskie sięgają już do mnie, czyli na drugą stronę naszego postoju. Dwie baterie odległe od siebie chyba około km biją w nas ogniem macanym i o dziwo, słyszę każdy lecący granat, jak leci i gdzie upadnie. Z jednej baterii, co czwarty pocisk nie rozrywa się, słyszę wylot, słyszę opadnięcie do ziemi, bez rozprysku. I tak bili w nas całe popołudnie. Nasze oddziały wycofały się przez bród na jakimś małym strumyku czy rowie. Oddział „Corda” wycofywał się ostatni, ubezpieczał kolumnę od tyłu. Do tego dnia nie mieliśmy zabitych, jedynie rannych. Dla ciężko rannych kolegów zrobione zostały kołyski między dwoma końmi, lżej ranni jechali na koniach, a jeszcze inni

niesieni byli na noszach. Komendant całości mjr „Kalina” do dnia dzisiejszego jeździł na gniadym koniu, dzisiaj 24.06. oddał konia rannym. Widzę jak szybko chodzi, rozkazuje i wyszedł na czoło kolumny w kierunku Osuchy, czy Borowca, tego nikt nie wiedział na dole. Takim wyciągniętym marszem szliśmy przez całą noc, noc zimną, pochmurną. O kilka metrów widać było tylko postać człowieka, lecz przewodnik był dobry, znał wszystkie boczne drogi i ścieżynki, ponieważ na głównych drogach były założone miny. Zatrzymaliśmy się, jesteśmy zachlapani za kolana, bo co pewien czas przechodziliśmy przez wodę na drodze, aż tu z prawej strony rakiety, widać jak w dzień. Nagła strzelanina, a w tym świetle rakiet widać jak ludzie biegną i padają, wstają i padają, to znowu biegną. Od naszej kolumny zasłania górka (wzniesienie). Ja jestem ostatni na tyłach. Górka w tym miejscu była obniżona do równości terenu, więc było dobrze widać. przychodzi do mnie por. Huk ze sztabu i mówi mi: *Na czele kolumny idzie „Kalina” i oddział BCh „Rysia”. Blisko są Osuchy. Nie wiedząc gdzie ta słaba linia obrony wroga, wysłał pluton „Rysia” dla zbadania siły ognia niemieckiego, a ja tu przyszedłem zobaczyć co tam się robi, bo na górkę nie można wyrzucić tak pociski latają.* Idziemy dalej ponad linią niemiecką. Znowu jakiś oddział poszedł do ataku (szturmu), znowu rakiety i gwałtowna strzelanina mówią, że to oddział sztabowy por. „Woyny”. Idziemy dalej, aż nasz oddział „Corda” wyszedł na lewe skrzydło, nad łąki, na łąkach drzewa, jest bardzo ciemno. Obok mnie jest Baczewski Jan „Głaz” z lkm-em, Buszkowski Zenon (Pałka) „Żółty” z lkm, Nizio Szczepan „Seroka” i inni, w ciemnościach mało widać. Dochodzą do mnie inni z bronią maszynową, na prawo ode mnie słyszę „Corda”, cicho rozkazuje. Obok mnie dwudziestu chłopców. Przychodzi „Kalina” objaśnia mi teren: *Oto są łąki, przez te łąki przepływa rzeka Sopot, na rzece lekko na prawo stoi młyn wodny, na lewo wieś Osuchy. Pójdzie pan biegiem z plutonem wprost do wsi, przez rzekę przeskoczyć, przepłynąć, dojść do linii, a potem ostrzeliwać wieś do odwołania.* Zrozumiałem wszystko, padł rozkaz: *Naprzód bez krzyku.* Odrywam pluton od całości oddziału „Corda”. W lukę tę wchodzi oddział „Wira”. Przepłynęliśmy rzekę i ponad rzeką biegiem w kierunku wsi. Tam, gdzie stał młyn rozgorzała gwałtowna walka bez rakiet. Na ciemno dobiegam do linii za drogą.

Nie napotykam bunkrów, za to z lewej strony sześć karabinów maszynowych rozpoczęło ziać ogniem z czterech okien białego domu. Krzyknąłem: *Chłopcy w lewo po oknach*. Po pierwszych seriach okna zamilkły. Niemcy poczuli, że jesteśmy tuż pod oknem i w pośpiechu opuścili dom. Głębiej we wsi alarm, ale cichy z trwogą, nie tak jak zwykle z rykiem. Na lewo wśród kilku chłopców leży „Seroka”, podniósł się i mówi: *Jeszcze im mało, ja im dołożę*. Odpowiedziałem: „Seroka” leż. Nie odpowiedział, po chwili słyszę krótką serię ze stena, potem jak gdyby inna seria, niemiecka. Wołam: „Seroka”. Padła odpowiedź: *Nie ma go, poszedł od nas*. Od ucieczki z transportu byliśmy zawsze razem, a teraz nie posłuchał, nie wrócił już nigdy. Puszczamy z trzech lkm-ów krótkie serie po wsi, rozwidnia się. Walki na bunkrach ustały, przeszły w głąb lasu. Po drugiej stronie bunkrów niemieckich dwie baterie artylerii biją huraganowym ogniem przez nas do naszego wyjścia w lesie, a rozpoczęły strzelanie, gdy tylko nasze oddziały weszły w linie niemieckie po obu stronach młyna. Ci którzy (jak się potem okazało) zostali w lesie czekając na przerwanie dostali się pod ogień artylerii. Jedni poszli w przód, drudzy do tyłu. „Kalina” (jak nam opowiadał naoczny świadek) krzyczy: *Naprzód!* Nikt go nie słucha, w ogniu tym ginie „Kalina”. We wsi Niemcy zachowują się cicho. Siedząc, spojrzałem do tyłu po niemieckich liniach obronnych. Z każdego bunkra snuły się leniwym łukiem dymy w głąb lasu hen za młyn. To nasi chłopcy do każdego bunkra wrzucali granaty związane po dwa. Zapaliła się słoma, może i ubranie, kto tam zaglądał. Niedziela 25.06. Zza lasu wychodzą promienie słońca. Nad nami wielki ryk granatów pędzonych za rzekę w głąb lasu. Wstaję na nogi, nie ma odwołania, spojrzałem na pola osuchowskie i widzę w żytach masę błyszczących hełmów. Na nas nie idą, ale zagradzają nam drogę do wolności. Idą rojem wprost do lasu, tam gdzie my mamy iść. Nie mówię co zaszło, krzyknąłem: *Chłopcy powstać, biegiem za mną*. Ponad rzeką wyprzedziliśmy Niemców i wpadamy do lasu. W lesie doktor „Radwan” opatruje rany „Zawiszy”, przy nim sanitariuszka. Panie doktorze mówię: *Niemcy za nami, trzeba się kryć*. Padają strzały od Niemców, jeden pocisk pada w „Zawiszę”. Drugi pocisk trafia w łokieć „Radwana”. Wypadły kości przez koszulę, a był tylko w koszuli i spodniach. Pielęgniarka bandażem owija rękę,

krw ucieka. *Panie doktorze niech pan idzie z nami* - mówię. „Radwan”: *Nie mogę, mam rannych*. Rozeszliśmy się, idziemy w głąb lasu nad stawy Sikorskiego, a tam stoi artyleria, dwie baterie. „Cord” nie wiedząc co tam jest, wyznaczył w tym miejscu zbiórkę oddziału. Po drodze spotykamy starszego sierżanta Rosłana Eugeniusza „Sokoła” i czterech partyzantów od „Wira”, jeden ranny ciężko po pasie. Daleko poza linią niemiecką, Niemcy z ostatniej linii puciekali i z ukrycia strzelali i trudno było ich znaleźć. Robimy nosze z pasów i drągów, bierzemy, podnosimy, a tu z lewa i z prawa strzelanina z broni maszynowej. W marszu pytam „Sokoła”: *Gdzie „Cord”, gdzie nasi żołnierze*. Odpowiada: *Nie wiem*. W drodze chłopcy zmieniają się przy noszach, głodni, wyczerpani nie mogą dźwigać. Idziemy na kierunek stawy bez kompasu, według mapy i słońca. Za zgodą rannego postanawiamy go zostawić w ukryciu. Las już jest znany dla żołnierzy – partyzantów „Wira”. Obiecują przyjechać furmanką następnego dnia. I tak pozostał w ukryciu. Niewiele uszliśmy, wyszliśmy na pełny las. W tym czasie ubezpieczałem od czoła. Spojrzałem w prawo, Niemcy, kawaleria na koniach wyjeżdża z drągowiny (młody las 25 lat), ujrzeni nas. Rozjeżdżają się w lewo i prawo chcąc nas okrążyć. Krzyknąłem: *Chłopcy z prawa Niemcy, w lewo do młodniaka biegiem marsz*. Zrzuciłem z siebie płaszcz i chlebak, wrzuciłem go pod małego świerka o szerokich gałęziach. Było lżej i szybko pobiegłem za kolegami. W gęstej drągowinie mieszanego lasu spojrzałem do tyłu, nie widać Niemców. Rozkazałem: *W lewo*. Koledzy poszli biegiem w lewo, i w tej chwili usłyszeliśmy tętent koni. Popędzili drogą dalej, przypuszczali, że nas dogonią. Nie zauważyli nas po lewej stronie, no bo w drągowinie około 25 lat z podrostem nie można było z koni zobaczyć. Oni na pewno bali się takiej grupy, woleli nie widzieć. Oczekaliśmy chwilę, wyszliśmy na ten sam tor marszu, ale spostrzegłem, że nie ma „Żółtego” z lkm-em. Zostaliśmy bez broni maszynowej, a mieliśmy trzy. Stopniowo wyczerpała się amunicja, taśmy pogubiły się. Dwa lkm-my, których już nigdy nie potrzebowaliśmy ukryliśmy w dziewiczym lesie. Wyszliśmy na stawy Sikorskiego na południową część. Nie było w nich wody tylko błoto i można było przejść na drugą stronę do lasu, który łączył się z Biłgorajem. Na prawo od nas, czyli na południowy wschód okopana jest jedna bateria, od nas

nie dalej jak 500 m. Hitlerowcy szybko ładują pociski i bez przerwy walą na Osuchy, na miejsce przerwanych linii niemieckich. Druga bateria stoi na zachód i tak samo pospiesznie wali. Jesteśmy ukryci w bardzo młodych jodłach i świerkach, wysokości około 15 m, gałęzie do samej ziemi. Z nami jest dwóch żołnierzy - partyzantów „Wira”. Mają dwa rkm-my polskie, przedwojenne, ale amunicji nie mają. Wybieraliśmy po kieszeniach resztki amunicji, załadowali kilka magazynków do polskiego rkm-u, ja natomiast rozmyślam wciąż o „Żółtym”. Gdzie on zaginął, był w czasie naszej ucieczki, miał jeszcze czynny lkm niemiecki. Postanowiłem go odszukać, nie zdając sobie sprawy, że jesteśmy pomiędzy dwiema bateriami, że muszą mieć ze sobą kontakty przez patrole. Odszedłem od kolegów, przyszedłem na to miejsce ucieczki, szukam, cicho wołam, nic cisza. Wróciłem, usiadłem obok swoich, rozmyślam. Idę jeszcze raz, przyszedłem, szukam. Ktoś woła: „Grom”, „Grom”, „Grom”. Stałem i zawołałem: *Wylaż, tu Niemców nie ma*. Wychodzi „Żółty” z dziewiczych wołochenisk, które sięgały mu po piersi. Pytam: *Dlaczego odtoczyłeś się i ukryłeś, przecież Niemcy patrzyli na nas, a gdzie masz lkm*. Odpowiada: *A gdzie twój płaszcz i chlebak, zabrali Niemcy, w czasie pogoni za wami i lkm również zabrali. Nie mogłem z nim uciekać, wrzuciłem do płaszcza, odczołgałem się dalej i wlałem pod to zielsko. Słyszałem jak szukali, zabrali wszystko, mnie nie znaleźli*. Wracamy do swoich, a artyleria z dwóch baterii wali w dalszym ciągu w stronę Osuch. Nie piszę szczegółowo o naszym przemarszu i potyczkach z Niemcami w Puszczy Solskiej, bo by zajęło to dużo czasu. Opisuję tylko ważniejsze przemarsze, więcej w prostej linii. Opisy walk pod Osuchami podaję w skrócie. Przechodząc przez bunkry niemieckie pod lasem (bo na polu byli już Niemcy) nie widziałem naszych, poległych kolegów. Napotkałem tylko rannego „Zawiszę” i to aż za trzecią linią i zdawało mi się, że nie mamy strat. Jak się później okazało ponieśliśmy bardzo duże straty w ludziach, chyba z tego powodu, że nasi dowódcy z mapami wyginęli, a żołnierze – partyzanci przedarli się przez okopy nieprzyjaciela i nie wiedzieli gdzie iść. Niemcy z trzeciej linii widocznie pouciekali po dziewiczym lesie i z ukrycia z broni maszynowej mniejsze grupy likwidowali na tyłach i mogło się tak zdarzyć (jak to w lesie bywa), że nie idzie człowiek

naprzód tylko kręci się w koło i wpada na powtórnię obławę, która powtarzana była ponownie w celu odszukania swoich i dobicia naszych rannych. Tu z tego miejsca przyglądamy się przez gałęzie jodły jak żołnierze hitlerowscy szybko ładują pociski (granaty) artyleryjskie do swoich dział, nie oglądając się wcale do tyłu ani na boki. A przecież mój pluton z tą bronią jaką mamy ze sobą (dwa rkm-y polskie) mógłby z łatwością rozbić całą baterię z zaskoczenia gdyby było pod dostatkiem amunicji, której mamy zaledwie około 30 szt. Daleko w lewo poprzez lukę leśną (z powodu stawów) widzimy pola orne i duże łąny zbóż na tym polu. Duże ilości wojska niemieckiego posuwają się pieszo w stronę Osuch. Kolumny są przerywane taborami konnymi. Groblami przez stawy nasi żołnierze – partyzanci w niedużych grupach (10 – 12) przechodzą śmiało przez stawy na drugą stronę. Nikt znikąd nie strzela, więc idziemy i my, już jesteśmy na drugiej stronie. Po drugiej stronie stawów odeszli od nas trzej koledzy z oddziału „Wira” z bronią maszynową, zostaliśmy bezbronni. Tu na mapie szukamy, gdzie jesteśmy. Jesteśmy na linii leśnej, oddziałowej południe – północ. Linia ta poprzez płytkie bagno prowadziła na młyn wodny za Aleksandrowem, po drugiej stronie szosy Aleksandrów – Józefów. W pobliżu tej szosy spotkaliśmy żołnierzy – partyzantów z oddziału „Woyny”. W pierwszych pytaniach zapytaliśmy: *Gdzie jest „Kalina”? Jakie są straty partyzantów?* *Odpowiedzieli: „Kalina” nie żyje, poległ w ogniu artyleryjskim w czasie, gdy popędzał partyzantów do przodu na przerwane linie nieprzyjaciela. Straty są duże, dużo poległo, a jeszcze więcej cofnęło się przed gęsto padającymi pociskami. Zszosy słychać warkot motorów samochodowych.* Do szosy podeszliśmy gęsto zarośniętym lasem, przez szosę pojedynczo przeszliśmy na drugą stronę z dala od młyna w dół rzeki. Nad rzeką znaleźliśmy połowę małej beczki sera (bryndzy). Zajadamy ser, kwaśny. Szosą od strony Aleksandrowa nadjeżdża duży samochód Niemców. W pobliżu nas zatrzymują się, wyskakują i szybko zbliżają się do młyna. Pochodzili, popatrzyli, odeszli, wskoczyli do wozu i odjechali na Józefów, zaś my porzuciliśmy ser i szybko oddaliliśmy się od młyna w kierunku wsi Margole. We wsi Margole otrzymaliśmy od ludności po pół litra mleka i po kromce chleba. Podziękowaliśmy i odeszliśmy w stronę wsi Brodziaki. Była to niedziela 25.06. wieczorem. Jest tu

normalne życie. Tu czekał na nas podchorąży „Pazur”, dowódca czwartego plutonu z oddziału „Corda” i jego zastępca plutonowy „Kniaź” oraz wszyscy żołnierze – partyzanci tegoż plutonu (nadmieniam, że pluton czwarty w pierwszym dniu wali tj. 19.06. - 21.06.1944r. w poniedziałek został odcięty od oddziału macierzystego „Corda”). Na wieś Brodziaki w dzień nie wychodzimy, zatrzymujemy się w lesie w pobliżu wsi. Ubezpieczają nas miejscowi koledzy z czwartego plutonu. My zaglądamy do bolących nóg. Razem z mokrymi butami i onucami schodzi skóra z dolnej części stóp. Całe stopy są odparzone i zakrwawione. Przez tydzień nikt nie zdejmował butów, w dziurawych butach błoto czarne i nogi czarne, i całe ciało czarne prócz twarzy, która była zmywana potem i deszczem. Nawet wszy nie mnożyły się w takim brudzie. Mieszkaniec wsi Brodziaki, Róg Franciszek ze swoją żoną i żołnierzami czwartego plutonu nagotowali nam świeżego mleka i wynieśli do lasu. Po tygodniu męki, głodu i walki, mleko i chleb było najlepszym pokarmem. Po posiłku wypłukaliśmy onuce i buty w wodzie, założyliśmy mokre na nogi. Zdawało mi się, że takie rany na nogach spowodują zakażenie, ale po kilku dniach zagoiły się. Pod wieś Brodziaki nadciągają żołnierze – partyzanci z różnych oddziałów, nawet partyzanci radzieccy w małej grupie przybyli. My zaś czekamy na „Corda” i kolegów. Nadjechał ranny w rękę lekarz „Radwan”, a „Cord” i inni nie wracają. Nogi po szeregu dniach wygoiły się. Podchorąży „Pazur” jest tymczasowo naszym komendantem. Zarządza, aby chętni odeszli z nim w inne lasy nie czekając dłużej na „Corda”. W nocy odeszliśmy w lasy Nadrzeczka do żołnierzy mojego siódmego plutonu. Pluton ten 26.06. został rozpuszczony do domu, ponieważ gajowy Kowalczyk Franciszek, który miał z oddziałem „Corda” łączność już 19.06. nie mógł przejść przez szosę Biłgoraj Zwierzyniec, bo była zamknięta. Nadmieniam, że gajowy kapral Kowalczyk Franciszek i gajowy Jachosz Adam byli moimi zastępcami. Pierwszą noc i dzień spędziliśmy w leśniczówce w Nadrzeczku. Gajowy Kowalczyk miał łączność z kolegami w Biłgoraju. Wiedział wszystko, co się robi w obozie w Biłgoraju i jak jest w terenie. Zapoznał nas ze wszystkim, z całą sytuacją biłgorajską. Od gajowego Kowalczyka odmaszerowaliśmy w lasy janowskie, które znałem bardzo

mało, znałem tylko wsie w tych lasach. W połowie drogi między Dąbrowicą i Bukową wstąpiliśmy do gajówki. W gajówce była żona gajowego, dzieci w wieku szkolnym i przedszkolnym i jeszcze jedna niewiasta. Domyśliły się kto my jesteśmy i dały nam obiad. Podziękowaliśmy i odeszliśmy w nieznaną. Mało, który miał jakąkolwiek broń, z taką bronią to nie partyzant, to pastuch. Po krótkiej naradzie postanawiamy wracać w stronę Nadrzecza tak, aby nocą przejść szosę Biłgoraj – Frampol i gdzieś się ukryć, każdy na własną rękę. Jeżeli „Cord” wróci i zechce założyć placówkę to dwaj gajowi, moi zastępcy odszukają nas. W tym celu wydałem zarządzenia, aby co drugi dzień mieli kontakt z Biłgorajem, no i rozeszliśmy się. Wszyscy koledzy mieli gdzie się ulokować, jedynie Zuzman Edward, zastępca kucharza na byłej naszej placówce nie miał gdzie się ukryć, więc wziąłem go ze sobą do wsi Smoryń do bogatego rolnika. Rolnik ten, Makowski Józef chętnie go przyjął, bo zbliżały się żniwa. Tam pozostał. Natomiast ja udałem się do wsi Komodziańska, aby się spotkać z kapitanem Gniewkowskim „Orszą”, komendantem powiatowym AK. „Orsza” miał mieszkanie w tej wsi, wśród tzw. gór Frampola. Po przybyciu do Komodzianki następnego dnia w południe spotkałem się z komendantem „Orszą”. Nastąpiło serdeczne powitanie. Kapitan „Orszą” wiedział o naszych stratach i zwycięstwach, ale nie wiedział, czy mój brat żyje, czy też nie. Pochwalił nas za bohaterską walkę z hitlerowcami w obronie wsi i ludności w lasach. *Mamy duże straty w żołnierzach – partyzantach, ale dziesięć razy większe straty mają Niemcy. Wiadomo nam jest - mówi dalej „Orsza”, że na gestapo biłgorajskie wpadł w obstawie generał wojskowy prowadzący tę akcję przeciwko partyzantom i ludności wiejskiej w lasach, krzyżąc: wy takie syny! Was zginęło od partyzantów około pięciu, a ja straciłem 11888 żołnierzy w zabitych i rannych. Gdybyście wszyscy wyginęli, mniejsze by były straty. Wy darmozjady na szubienicę was!* W tamtym czasie zdawało mi się, że to prawda. Uwierzyłem, bo widziałem jak padali i pchali się na oślep. Od tamtego czasu rozważam i nie wiem, ile w tym jest prawdy, może kapitan „Orsza” chciał mnie pocieszyć. Po spotkaniu z powiatowym komendantem AK kpt. „Orszą”, następnego dnia wróciłem do leśniczówki (swojej tajnej kwatery) w Nadrzeczu. Przyszli moi zastępcy

Jachosz i Kowalczyk, obydwaj gajowi Nadleśnictwa Państwowego Biłgoraj. Mieli już dobre połączenie z Biłgorajem. W krótkiej rozmowie z nimi dowiedziałem się, że prawdopodobnie por. Stegliński Józef „Cord”, komendant Rejonu Biłgoraj i komendant naszego oddziału partyzanckiego nie żyje. Na jego miejsce na komendanta Rejonu Biłgoraj mianowany został por. Szalak Zygmunt. Oto jest jego pierwszy i ostatni rozkaz: *Wszystkich, żyjących podoficerów Rejonu Biłgoraj awansuję o jeden stopień wzwyż, wszyscy żyjący oficerowie, podoficerowie i szeregowi żołnierze Armii Krajowej obowiązani są utrzymać dyscyplinę, organizować sabotaż jak dawniej, jeżeli zajdzie potrzeba walczyć z bronią w rękę aż do przyścia wojsk radzieckich. Wywiad i poczta mają funkcjonować normalnie. Podpisał komendant Rejonu Biłgoraj.* A więc to, czego dowiedziałem się od kpt. „Orszy” stało się faktem. Szalak Zygmunt (ps. nie pamiętam) ukrywał się przed Niemcami i ich sługami we wsiach w pobliżu Łazorów pow. Biłgoraj. Przed wojną był nauczycielem i por. rezerwy Wojsk Polskich, był również dowódcą plutonu północnego AK w Biłgoraju. Jako oficer był poszukiwany przez gestapo biłgorajskie. Przed wojną znałem go osobiście, był ode mnie starszy o kilka lat. Wszyscy w Biłgoraju i wokół Biłgoraja nazywali go „Muniek” Szalak, syn rzeźnika w Biłgoraju. A więc oddział partyzancki, nasza chluba, nasz zaszczyt przestał istnieć, nigdy już się nie odbudował, spadła żałoba na nas wszystkich podkomendnych „Corda”. Mój pluton nie miał czym walczyć, został bez broni, sabotażu nie było gdzie stosować. Zasadzek niemieckich już nigdy nie było na moim terenie siódmego plutonu. Gestapo biłgorajskie trzęsło się ze strachu przed nadejściem wojsk radzieckich. Po ostatnich zbrodniach na początku lipca na partyzantach, gestapowcy z Biłgoraja, pojedynczo wymykali się, aby ich nie spotkała zapłata za bandyckie czyny. Landrat (starosta) biłgorajski otrzymał pluton wojska dobrze uzbrojonego dla osłony 17 wozów na wysokich kołach, na których to naładowane było wszystko co Biłgoraj posiadał. Wywiad biłgorajski nie miał komu przekazać, aby transport rozbić i zabrać to co nasze. Lasy nasze były puste, aż za Wisłą transport wpadł w zasadzkę partyzancką. Okrążeni Niemcy nie wyszli ani jeden, sam Landrat został powieszony na miejscu walki, a żołnierze jego wyginęli w walce. Zginął jeden partyzant. Jest to relacja mojego

kolegi, naocznego świadka. W Biłgoraju ostatni gestapowcy podpaliли zbrodniczą siedzibę gestapo. Na wszystkich szosach zorganizowane były zasadzki na zbrodniarza wojennego Kolba, szefa gestapo w Biłgoraju. Kolb czując to wyjechał sam w kierunku wsi Sól, pod Solą skręcił w prawo i piaszczystymi drogami pojechał w stronę Krzeszowa. Tak uniknął zasadzki, ale wywiad jechał z tyłu niego aż do Częstochowy. Nie mieli okazji podjechać do niego, wszędzie były wojska niemieckie. Tam im zniknął z oczu w pewnej bramie. Weszli w bramę, ale nie mogli się dopytać, gdzie zniknął. Jest to relacja Michała Kochmańskiego „Gryfa”, wywiadowcy z Biłgoraja przekazana do mnie samego. Pełnił on funkcję oficera wywiadu. Po wojnie Kolb, szef gestapo z Biłgoraja został odnaleziony w Niemczech Zachodnich, aresztowany jako zbrodniarz wojenny, zmarł w więzieniu. W Biłgoraju skromne magazyny PSS zabezpieczyli żołnierze AK z Biłgoraja. Frontowe wojska niemieckie miały lasy Puszczy Solskiej i Janowskie, aby nie wpaść w zasadzkę partyzancką. Przyszły wojska radzieckie, przyszła oczekiwana wolność. Pod Osuchy udali się żyjący żołnierze – partyzanci i rodziny poległych, aby odszukać swoich bliskich, aby ciała bohaterów zabrać z pola walki i pogrzebać. Ciała rozpoznane rodziny zabrały na swoje cmentarze, ciała nierozpoznane pogrzebane zostały na cmentarzu wojskowym pod wsią Osuchy.

Powyższy pamiętnik jest prawdziwy. Stwierdzam własnoręcznym podpisem. Plutonowy Pacyk Kazimierz „Grom”

Należy wrócić do 1943 r. Otóż w Rejonie Biłgoraj był jeden powielacz do pisania (powielania) wiadomości radiowych. Nie jest mi wiadomo, gdzie i kto składał wiadomości radiowe, kto pisał. Pisało się dziurkami i składało tzw. matryce przy pomocy ramy, skrzynki. Pędzlem i farbą malowane były na białym papierze wiadomości. Jak się wprawił to szybko szło. Taki powielacz w jednym miejscu nie był dłużej jak trzy miesiące, wędrował po Biłgoraju zmieniając siedzibę. Z rozkazu „Corda” przejąłem powielacz 15.06.1943 roku. Umieściłem go u Chudego Andrzeja (ur. w 1916 r.) we wsi Gromada od strony Biłgoraja. Z rozkazu „Corda” dla ochrony powielacza w czasie pisania, zaprzysiąłem dwóch chłopców młodocianych (ur. 1928 r. i 1926 r.). Jeden był siostrzeńcem Chudego Andrzeja, drugi był po sąsiedzku u cici. Obaj

się bawili na drodze wiejskiej naprzeciw domu z powielaczem. Obaj się tylko znali i nie wiedzieli, że pełnią jedną funkcję. Gdyby nadchodzili Niemcy lub działo się coś podobnego, mieli lecieć pod oknem i wołać: *Chmura idzie będzie deszcz*. Piszący na powielaczu zbierał wszystko, wkładał do tzw. grubki pod kuchnią, zamykał otwór wiadrem z pokarmem dla świń. Naokoło tej grubki i w grubce było masę pluskiew (robaki domowe, nie bały się ludzi, karaluchy bały się). Niemcy, gestapo w takie otwory z robakami nie zaglądali, stali z dala lub uciekali. Po zakończeniu pisania i sprzątnięciu powielacza z wiadomościami do tejże grubki, Chudy wychodził na drogę do chłopców i rozkazywał: *Idźcie chłopcy do domu, dosyć tej gry czy zabawy*. Na taką ochronę starsi się nie nadawali, bo cóż mieli robić na drodze, wzbudziłoby to podejrzenie. Wiadomości radiowe zabierałem od Chudego Andrzeja i zawoziłem do „Corda”. Od „Corda” brałem matrycę, papier biały do pisania i powiadamiałem chłopców: *Idźcie się bawić przed Jędrucha*. Andrzej był tylko z matką starowiną. Pisał tak do 1 listopada 1943 r., trzy i pół miesiąca. Po pierwszym listopada odwoziłem powielacz do „Corda”. „Cord” był już poszukiwany przez gestapo. Mieszkał na Bojarach na przedmieściu Biłgoraja. Za trzy tygodnie zostałem aresztowany przez gestapo w Biłgoraju.







Nieudana akcja na Kolba, szefa gestapo w Biłgoraju

Było to w pierwszej połowie maja, czerwca 1944 roku. Mniej więcej g. 14 – 16 po południu, wróciliśmy jak zwykle z ćwiczeń na terenie lasu do miejsca postoju na obiad. Podczas obiadu komendant „Cord” podaje nam do wiadomości, że jutro rano szef gestapo Biłgoraj wyjeżdża na polowanie na kozła w Szyjówce w Zaciszu, obok lasu ciągnącego się daleko na zachód. Tu spojrzął na mnie mówiąc: *Ma pan okazję go zlikwidować. Nikt nie będzie za niego odpowiadał, ponieważ wyjeżdża bez zezwolenia przełożonych. Na komendanta wyprawy mianuję ppor. „Grot”, pan będzie jego zastępcą. Wybrać najlepszych żołnierzy. Dwie furmanki podwiozą was do szosy Biłgoraj – Zwierzyniec, dalej pójdziecie pieszo do Zacisza. W Zaciszu zrobić rozpoznanie. Wybrałem dziewięciu, brat „Żwawy” dziesiąty, „Grot” jedenasty i ja dwunasty. Podbiega kapral „Jagoda”: A mnie nie weźmiesz? Zgodziłem się: No to chodź. Zapomniałem, że w trzynastu nie ma szczęścia i tak się stało, trzynasty popsuł akcję. Wyjeżdżamy na furmankach, już było ciemno, noc bezksiężycowa. Najbliższymi drogami dojeżdżamy do szosy, zostawiamy furmanki, przeskakujemy szosę pojedynczo w pobliżu stacji kolejowej Rapy, furmanki odjechały na placówkę. Z lasu wychodzimy na wieś Gromadę od strony Biłgoraja. Przez dobrze mi znane kładki na rzece wchodzimy w zabudowania gospodarcze, psy nie szczekają, nie ma wroga i już jesteśmy na polu w kierunku Zacisza. Wchodzimy na łąki szyjówek i tu ppor. Józef Witek „Grot” rzeka się swojej funkcji komendanta i przekazuje ją mnie, z tego powodu, że ja dobrze znam ten teren, na co wyraziłem zgodę. Zwracam się do brata swego „Żwawego”: *Zaprowadź ich w to wysokie żyto pod lasem i tam poczekajcie na mnie, aż wrócę z Zacisza.* Idę na rozpoznanie, ale nie biorę nikogo, bo psy tutaj mnie znają i nie będą szczekać. Gdyby się pojawił obcy na pewno by szczekały. W tej chwili nie szczekają, nie ma obcych. Oddaliłem się w ciemność. Straciłem sporo czasu na wyszukanie swoich chłopców, znalazłem matkę Kutryna. Matka zaprowadziła mnie do kryjówki, gdzie w ukryciu spał jej syn Wincenty Kutryn. Serdeczne powitanie, krótkie opowiadanie, no i pytanie: *Gdzie tu poluje Kolb?* Odpowiada: *W szyjówece gromadzkiej. Przyjeżdża do Romka Kutryna na podwórko, zostawia konie i pieszo idzie drogą ponad lasem do trybunek (ambon) na drzewach. Oczekuje na kozła w towarzystwie dwóch gestapowców. Masz jeszcze czas, zdążysz jeszcze do swoich, zanim usłyszemy bryczkę zbliżającą się na sąsiednie podwórko. Opowiedz mi jaką macie broń, czy głód u was, co słychać na**

frontach. Gdy my tu tak gawędzili oczekując bryczki, naszedł na zasadzkę Flis Tomasz mieszkający pod lasem obok szyjówki. Zatrzymali go: *Dokąd idziesz?* Flis na to: *Po szefa gestapo Kolba.* Chłopcy pytają: *Gdzie poluje?* Odpowiada: *Tu. Przyjeżdża do leśniczego. Jeśli ja przyjdę idzie tu, a jeżeli mnie nie ma odjeżdża z powrotem.* Nie czekając na mnie odchodzą z umówionego miejsca. Wracam i podaję hasło, cisza, podaję głośniej i słyszę odzew w lesie. Podchodzę zaniepokojony tym, że obstrzał skierowali na pole. Widzę jednego stojącego nad Flisem i pytam: *Gdzie reszta?* Sprytny Flis odpowiada szybko: *Poszli do Romka i po co do Romka wystaliście, czy nie lepiej tu.* Kolega wartownik nie zrozumiał, zdawało mu się, że Romek to leśniczy. Ja byłem pewny, że go tam złapią bez strzału. Nie było po co wracać, było już za późno, chociaż było jeszcze bardzo ciemno. Spojrzałem na drogę. Idą trzy postacie ludzkie, zdawało mi się, że to moi. Przebiegła mi myśl: *Dobrze, że wrócili. Idę w ich kierunku, minęli mnie. Zdawało mi się, że idą pod trybunki. Wychodzę na drogę i widzę do nieba w luce drzew czapki gestapo.* Podskok do tyłu był niemożliwy, usłyszą, mają uczonego psa. Broń niosę w pogotowiu, miałem stena. Gdybym miał lkm, czy polski rkm można by było z tej odległości strzelać z tyłu na chybił – trafił. Pociski ze stena nie dolecą. Wróciłem zdenerwowany do Flisa i mówię: *Flis oszukaliście mnie i kolegów.* Skierowałem się do Zacisza, po drodze już się rozwidniło. Napotkałem swoich idących tyralierą na kierunek i mówię: *Chłopcy do mnie. Tak go spłoszycie i odejdzie zanim go ujrzycie.* A kapral „Jagoda”: *Chłopcy, na moją komendę naprzód.* Proszę go: *Co ty robisz? Ucieknie.* Próbuję ich ściągnąć, na darmo. „Jagoda” szaleje, chce Kolba spłoszyć. „Grot” idzie z boku. Proszę go: *Niech go pan uspokoi - rozłożył ręce - nie dam rady.* Proponuję zasadzkę, tłumaczę, że tędy będzie wracał. „Jagoda” krzyczy: *Nie! Chłopcy na moją komendę, za mną, naprzód.* Rozglądam się za bratem, aby go siłą zmusić do posłuszeństwa, brata nie ma. Pytam: *Gdzie jest mój brat?* „Grot” odpowiada: *Został przy dwóch rozbrojonych esesmanach.* Powiadam: *Jeden na dwóch, a związani? Nie? No to oni go obezwładnią, zanim pociągnie za spust.* „Grot” mówi: *To szaleństwo „Jagody”.* Tak jeden wściekły „Jagoda” spłoszył kata biłgorajskiego. Kat pierwszy strzelił i umknął w mgłę na łąkach. Zbuntowani partyzanci strzelali na oślep do mgły. Za mgłą, na polach ornych wypłynęło trzech gestapowców, tam pociski nie sięgały. Pobiegli przez pola na przełaj do Biłgoraja. „Jagoda” zaś wrócił na Zacisze, zastrzelił dwóch esesmanów, wsiadł na bryczkę gestapowską, wziął ze sobą kilku zbuntowanych i odjechał. Ppor. „Grot”, ja, mój brat i inni poszliśmy pieszo lasem do swojej placówki. Gdyśmy przyszli wieczorem „Jagoda” zdążył komendanta „Corda” przerobić,

falszywie nastawić, że to „Grot” i ja byliśmy nieudolni, przez co on musiał wziąć akcję na swoją komendę. Nie znając terenu wypłoszył kata ziemi biłgorajskiej. „Cord” uwierzył „Jagodzie”, nie pytał nas o nic, wysłał bryczkę z końmi do „Kaliny” do sztabu Inspektoratu Zamojskiego (o tej bryczce pisze „Mucha” jak to akowscy oficerowie jeździli na bryczce, jedli pieczone jaja, a szeregowi głodowali i chodzili pieszo). Nadmienić należy, że w dotychczasowych akcjach, sabotażach najsprawniej wykonywali swoje zadania leśniczowie, gajowi i niektórzy robotnicy leśni zaś tzw. cywile byli nieodważni, nieposłuszni, nerwowi w atakach i błędnie wykonywali swoje zadania. Jedyne „Żegota” miał sprawnych żołnierzy – partyzantów.

Akcja „Owies” na Woli małej w tartaku

Przy końcu kwietnia, może na początku maja 1944 r. komendant naszej placówki „Zarzewie” otrzymał rozkaz: *Owies zmagazynowany u Iwańczyków przy tartaku w stodole, przeznaczony dla wozaków leśnych, zabrać i zmagazynować u siebie na placówce i we wsi Brodziaki z przeznaczeniem dla koni partyzanckich, ponieważ owsa tego nie otrzymają wozacy. W najbliższych dniach Niemcy zabiorą go do swoich magazynów.* Komendant „Cord” organizuje wyprawę po owies. Ściągnął wiele furmanek, dużo worków i nocą wpadamy na podwórze tartaczne, rozstawiając ubezpieczenia wkoło placu tartaczego. W kilka godzin wszystek owies został załadowany na furmanki. Zabraliśmy też trochę desek na magazyn i jałówkę, ponieważ taki był rozkaz. Odjechaliliśmy z łupem do swojej placówki „Zarzewie”. Ani następnego dnia, ani też później, Niemcy nie raczyli sprawdzić, czy to jest prawda, że owies został zabrany przez partyzantów. Uwierzyli Iwańczykom. Nadmienić należy, że we wsi Brodziaki u Roga Wawrzyńca, komendanta placówki w Brodziakach, oraz komendant 4-go plutonu w Rejonie Biłgoraj, stały konie dla usług partyzanckich. Prawie każdego dnia konie te były na usługach łączników i gońców. Służyły też do podwożenia komendantów powiatowych i innych osobistości związanych z Ruchem Oporu, więc dla tych koni wyżywienie musiało być. Z tego podwożenia korzystałem i ja, a nawet nałogowy złodziej, zbiegły z oddziału partyzanckiego por. „Groma” Błaszczaka. Za kilka dni złodziej ten został odnaleziony. Był zawieszony na gałęzi. Któregoś dnia w maju 1944 r. do naszej placówki „Zarzewie” dobrze rano, przybył goniec z Majdanu Starego, że na ich terenie jest zrzut z samolotu. „Cord” zarządził wyjazd na ochotnika we dwie furmanki, więc

jak zwykle zgłaszam się i jedziemy z bronią maszynową, bo jest możliwe spotkanie z Niemcami. Kawał drogi przez las, z lasu wyjeżdżamy na szosę Biłgoraj – Tarnogród. Po ujechaniu z km napotykamy dwa samochody Niemców powracających z tamtej strony do Biłgoraja. Mijamy się z Niemcami w uśmiechu i pogotowiu, machamy ręką i oni to samo czynią. Po drodze w Majdanie dowiadujemy się od swoich kolegów, że Niemcy nas uprzedzili i zabrali wszystko co było. Wracamy na placówkę inną drogą w niedobrym humorze.

Mówi się wiele, że w oddziale „Corda” były trzy turnusy szkoły podoficerskiej, jest to nieprawda, było dwa. Pierwszy od połowy marca 1944 r. do początku maja, w sumie 6 tygodni. Drugi turnus od połowy maja do połowy czerwca, nieskończony. Wiem dobrze, ponieważ byłem na obu turnusach drużynowym, a prawdą jest, że „Cord” był komendantem szkoły, i prawdą jest, że chłopcy przychodzili na przeszkolenie rekruta. Należałoby wspomnieć, że we wsi Nadrzecze na terenie VII-go plutonu Rejonu Biłgoraj, w leśniczówce na polecenie „Corda” zorganizowano kuchnię w latach 1943 – 1944 dla żołnierzy – partyzantów „Corda”, którzy często patrolowali ten teren, czyli trasę partyzantów z lasów janowskich do Puszczy Solskiej. Kuchnię tę z dobrej chęci, na własny koszt prowadził wysiedlony inżynier rolny z Poznania, pan Alwin Stefan z żoną Marysią i gajowy kapral Jachosz Adam z Nadrzecza, zastępca dowódcy plutonu VII.

